

Dziś w numerze: ● Trudny werbunek ● Miniatury ● 50 lat „Głosu Nauczycielskiego” ● Podwójne narodziny Charlie Chaplina ● Otwarte okno ● Wiersze ● Felietony ● Recenzje

odgłosy



17 (547)
28. IV. 1968 r.
18 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



ANDRZEJ MAKOWIECKI

Ustaw się, kolego!

Kilkanaście lat temu w kuluarach Szkoły Filmowej mówiło się najczęściej o scenach, kadrach, sekwencjach i estetyce kina; panowała atmosfera twórczego napięcia; ktoś się burzył, ktoś gniewał; było sporo egzaltacji i patetycznych gestów, jeszcze więcej szczerego zapалу; były pewne ideały i walka o nowe wartości; powstawała tzw. szkoła polska, szereg mocnych, prawdziwych artystycznie filmów, opierających się skutecznie modom i manierkom.

Dziś trzydziestoletni bananowcy odmieniają we wszystkich przypadkach hasło: „Trzeba się ustawić”.

Zmieniła się mentalność studenta. Już nie ten naiwny, zapalczawy chłopak z głową nabita ideami, już nie cygan w czarnej pelerynie, słuchający jazzu i gryzmołacy po nocach na skrawkach papieru zapoznane scenki z życia. Inne czasy, inna orientacja. Przyszły gdzieś od Zachodu nowe, lepsze definicje: „Kino — to PRZEMYSŁ, INTERES, KONSERWA, KONFEKCJA, to rodzaj TAKTYKI ŻYCIOWEJ”. Przyjął się w szkole kult cwaniactwa, i sprytu, poszanowanie dla dolara, szacunek dla samochodu; biorąc na swoje barki oskarżenie, że zakwitła smrodliwie atmosfera kosmopolityzmu: „my, obywatele świata!”. Powstało parę uniwersalnych recept na zrobienie kariery: „Można swingiem albo przebojem, jak Skolim i Piwek — pouczaj mnie przed laty Erol, student Wydziału Reżyserii — ale jeszcze le piej działać w sztabie, wiesz, jak u Felliniego, grupa ludzi, wspólny cel, jeden drugiego poprze, podepchnie, ja ci to, ty mnie to, ten ma kontakt z Semaforem, tamten z Telewizją, interes się rozkręca. Chcemy wysłać coś za granicę. Jest pomysł, tylko nie ma kto napisać. Nie o żadnych robotnikach, frajerstwie, o nas, Sopot, samochody, pokój hotelowy, sztafeta, ta dziewczyna na końcu wyskakuje oknem”... Szaleństwem byłoby twierdzić, że takie postawy życiowe wynikają z psychiki studentów. Nie! Ktoś ich tego musiał nauczyć, ktoś stworzył warunki po temu. Wiele wyjaśnia kursująca w szkole fama o stajence koni wyścigowych. Takich koni jest na roku dwóch, czasem trzech; podpatrzyli coś u Czechów albo u Bergmana, zeszczepili z polskim klimatem: coś „nowego”, „odkrywcze”, i już stają się przedmiotem troski i opieki profesorów, zazdrości kolegów; nie muszą zabiegać godzinami, ba, tygodniami o konsultację, fasują bez przeszkód dodatkowe kontyngenty, taśmy filmowe, pieniądze; ich etudy są starannie adiustowane, przykrajane do wymogów mody, a potem jadą na zagraniczne festiwale, zdobywają nagrody i profesor może się pochwalić, wykaże pedagogicznymi sukcesami: „O, widzicie, mój student”... Dwa, trzy konie wyścigowe na roku, a co z resztą? Z owymi nierasowymi, niepełnej krwi wierzchowcami? Prawda to, że jest w szkole tak zwany czwarty rok „bis”, jedenastu studentów, którzy nie zrobili dyplomów w ubiegłym roku akademickim? A może byli leniwi, może im się nie chciało? A może nie chciało się profesorom? Może to właśnie profesorowie nie mieli czasu na wysłuchiwanie studenckich propozycji, na czytanie scenariuszy? Historia uczy, że regres Szkoły Filmowej zaczął się w latach sześćdziesiątych, kiedy wykładowcy podjęli liczną pracę w zespołach, także na innych placówkach kulturalnych. „Nazywa się to „wieloletowością” — pisał Michał Gardowski w „Ekranie” — a ludzie twierdzą, że chałtura, pracą „po boku”. Mniejsza o spory retoryczne. Rektor PWSTiF prof. Jerzy Toeplitz, łącząc w swojej osobie dyrektora Instytutu Sztuki i redaktora naczelnego „Kina” z siedzibą stałą w Warszawie. Prorektor, prof. Stanisław Wohl, dodatkowo (śmiesznie

Inicjatywa i dolary

Łódź wyrosła na eksportce. Było to dawno. Przemysł lekki swój niebawmy rozkwit zawdzięcza olbrzymim ryнком wschodnim. Potem kierunki wywozu towarów zmieniły się, zmieniła się po wojnie struktura przemysłu.

Problematyką handlu zagranicznego zajmowało się po raz drugi w tak krótkim czasie XI Plenum KC PZPR. W trakcie obrad sformułowano szereg zadań, które dotyczą również Łodzi i okręgu łódzkiego. Wiąże się one z systematycznym doskonaleniem produkcji i form zagranicznej sprzedaży. Chcąc zapoznać Czytelników z niektórymi sprawami związanymi z handlem zagranicznym i rolą Łodzi w jego dalszym rozwoju zaprosiliśmy do redakcji „Odgłosów” ludzi zawodowo związanych z eksportem. W

dyskusji uczestniczyli: delegat ministra handlu zagranicznego, dyrektor „CETEBA” — Zygmunt STARZENSKI, dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Włókienniczych — Zdzisław KARASINSKI oraz przedstawiciele Polskiej Izby Handlu Zagranicznego — Józef PAJCHEL, Bogusław MUSZYCKI i Jerzy SZCZECIŃSKI.

„ODGŁOSY” — Niezależnie od tradycyjnego włókiennictwa w Łodzi i jej pobliżu powstaje przemysł elektrotechniczny i maszynowy. Zaczyna on odgrywać coraz większą rolę, co ma poważny wpływ na poprawę struktury eksportu. Wystarczy tylko

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 5



„Dobrze świadczą o politycznej mądrości narodu polskiego to, że w najbardziej przelomowym okresie swej historii nie dał postępu reakcji, że poszedł za głosem klasy robotniczej i jej partii...” — te słowa Władysława Gomułki, wypowiedziane na naradzie warszawskiego aktywów w dniu 19 marca br. przypominam Czytelnikom w związku z 23 rocznicą podpisania polsko-radzieckiego Układu o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy, odnowionego przed trzema laty.

Przypominam, ponieważ w toku marcowych wydarzeń ich inspiratorzy próbowali zaatakować również politykę zagraniczną naszego kraju, której podwalinę dał wspomniany Układ.

23 lata, jakie 21 kwietnia minęły od owego prawnomiędzynarodowego aktu, sprawdziły jego żywotność w praktyce, na wszystkich płaszczyznach bilateralnej współpracy. W dziedzinie polityki zagranicznej jego podpisanie oznaczało zapowiedź współdziałania Polski i Związku Radzieckiego we wszystkich poczynaniach, zmierzających do utrwalenia pokoju. Rejestr inicjatyw obu krajów na arenie międzynarodowej jest bardzo obszerny. Jeśli mimo wszelkie trudności za normę międzynarodowego współżycia uznano pokojowe współistnienie, jeśli uczyniono pierwsze kroki w kierunku rozbrojenia, jeśli w głębokiej izolacji znalazła się amerykańska interwencja w Wietnamie i zdezasymilowana agresja Izraela na terytorium arabskie, jeśli zarysowały się wyraźne tendencje odprężenia w Europie — to na to wszystko wplyw miały w dużym stopniu ZSRR, Polska i inne kraje socjalistyczne.

Dla Polski sojusz z ZSRR jest gwarancją jej granic, przeciwność której z NRF raz po raz kierowane są ataki.

Ze znaczenia polsko-radzieckiego sojuszu zdają sobie sprawę nasi przeciwnicy. Próbuja więc go „rozmiękczyć” i osłabić i w tym celu w toku marcowych wydarzeń wysunęli również antypolskie hasła. Jakże jednak zawiedli się, sądząc, że znajdą one postuch! Pozostali osamotnieni tak, jak ich autorzy, sądzą, że również tą miarą można mierzyć znaczenie polsko-radzieckiego układu.

Po tych kilku rocznicowych rozważaniach przejdźmy do bieżących wydarzeń na arenie międzynarodowej.

W minionym tygodniu w centrum zainteresowania pozostał Wietnam. Wytworzyła się bowiem paradoksalna sytuacja: powstały warunki do wstępnych rozmów amerykańsko-wietnamskich, jednak mimo upływu prawie 3 tygodni rozmowy te jeszcze się nie rozpoczęły. I to z powodów raczej nie najistotniejszych — niemożności ustalenia miejsca kontaktu.

W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, dlaczego to USA odrzuciły propozycję DRW spotkania się w Warszawie. Otóż dlatego, że Warszawa dla polityków amerykańskich nie jest miejscem neutralnym. Oczywiście, w planie ten nie przeszkadza Waszyngtonowi w od lat trwających ułaninie w stolicy Polski rozmowach amerykańsko-chińskich, tym razem jednak użyty został jako argument koronny.

Warto przy tym przypomnieć Czytelnikom, że Johnson kilkakrotnie uprzednio mówił o gotowości jego administracji spotkania się „w każdym miejscu” i nigdy z jego ust nie padło zastrzeżenie, że to „każde miejsce” ma być neutralne. O takim warunku nie było też mowy wtedy, kiedy USA odrzuciły pierwszą propozycję DRW — Phenom Penh, o czym pisałem w ub. tygodniu. Wówczas mówiono tylko, aby przy wyborze uwzględnić fakt istnienia przedstawicielstwa obu stron. Ostatnio do dwu wyliczonych dołączono i dalsze warunki: w miejscu wstępnych kontaktów mają się znajdować przedstawicielstwa wszystkich krajów zaangażowanych w wojnie po stronie Saigona oraz ma ono nie dawać korzyści psychologicznych którejśkolwiek ze stron.

Taka metoda dodawania warunków, czyli mówiąc prościej: utrudniania wyboru miejsca rozmów — jest niczym innym, jak tylko gra na zwłokę. Komu ona jest potrzebna? Oczywiście Johnsonowi, który — jak pisze prasa amerykańska — „przystępuje do rozmów bez wyraźnego eprecyzowanego planu postępowania”. Z tych względów od początku przewidywano, że negocjacje znajdą się w stanie długotrwałego impasu. Pomyłka komentatorów polega tylko na tym, że impas rozpoczął się wcześniej niż... wstępne rokowania. Jest to z pewnością próba, jakie to trudności napotykać będą rozmowy.

W czasie, gdy trwa wymiana zdań co do miejsca kontaktów, Stany Zjednoczone dokonują nadal nalotów na terytorium DRW, a na południu kraju toczą się walki. Źródła amerykańskie podają, że w najbliższym czasie nie można wykluczać nowej ofensywy partyzanckiej. Przypomina to trochę sytuację z okresu wojny koreańskiej, kiedy to najcięższe walki prowadzone były w czasie rozmów między obu stronami.

Na zakończenie dzisiejszego przeglądu wydarzeń jeszcze kilkanaście słów o wizytach zagranicznych.

W PAKISTANIE witany bardzo serdecznie przebywał z oficjalną wizytą premier Kosygin. Przedmiotem rozmów były nie tylko wzajemne stosunki między obu krajami, ale i sytuacja międzynarodowa oraz niewygasły do końca spór Pakistanu z Indią. W drodze powrotnej do Moskwy Kosygin odwiedził również stolicę INDII.

W POLSCE gościł marsz. Iwan Jakubowski — naczelny dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego.

Do IRANU wybiera się przewodniczący Rady Państwa PRL — marsz. Marian Spychalski. Jego wizyta nastąpi w dniach 8—14 maja.

W MOSKWIE prowadził rozmowy polityczne minister spraw zagranicznych ZRA — M. Rjad. Oto niektóre ważniejsze pozycje z kroniki „bezpśredniej dyplomacji”. Jak widać — wiosna dyplomatyczna w pełni...

W. ŚLAWSKI

Do pisarzy całego świata!

Wobec uporczywie ponawiających się nikczemnych kłamstw, oskarżających naród polski o antysemityzm i współpracę z okupantem w czasie wojny, my pisarze polscy oświadczamy uroczysto:

W latach okupacji hitlerowskiej Polacy ułatwiali Żydom ucieczkę z Getta i obozów, dostarczali żywności, fałszywych dokumentów i zapewniali schronienie, mimo że groziło to śmiercią całej rodzinie. Wielu Polaków oddało życie ratując Żydów. W czasie powstania w Getcie Warszawskim polski ruch oporu AK i AL zbrojnie wspierał walczących bojowników żydowskich i pomagał im wyrwać się z pierścienia oblegających.

Dzieci żydowskie znajdowały schronienie w rodzinach polskich i w przytułkach zakonnych, ich rodzice mogli walczyć w polskich oddziałach partyzanckich.

Wszelkie próby szantażowania ukrywających się Żydów przez jednostki zarówno spośród Polaków, jak i spośród Żydów były piętnowane w prasie podziemnej i karane wyrokami polskich sądów podziemnych śmiercią.

Każdy z zagrożonych Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego znajdował w czasie wojny pomocną dłoń, wsparcie i kryjówkę u dziesiątków tysięcy Polaków: inteligencji, robotników i chłopów, co często wymagało prawdziwego heroizmu. Prócz tego pomocy w formach zorganizowanych udzielała tajna siatka „Żegota”. Pomoc ta miała charakter powszechny. Świadczyć mogą o tym liczni ocaleni, przechowani mimo hitlerowskiego terroru — wśród nich wielu członków naszego Związku. Taka jest prawda, o której świadczymy.

ZARZĄD GŁÓWNY
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Związek Literatów Polskich stoi na stanowisku politycznej akceptacji Polski Ludowej

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, obradujący w dniu 9 kwietnia 1968 r. na plenarnym zebraniu z udziałem prezesów wszystkich oddziałów kraju, zapoznawszy się z treścią i atmosferą nadzwyczajnego zebrania Oddziału Warszawskiego ZLP, które odbyło się dnia 29 lutego br. wyraża głębokie ubolewanie z powodu jego przebiegu.

Zebranie to zwołane na żądanie 1/3 członków Oddziału Warszawskiego w celu przedyskutowania sprawy zdjęcia z afisza Teatru Narodowego „Dziadów” Mickiewicza w inscenizacji K. Dejzma, zostało przez inspiratorów i niektórych inicjatorów przekształcone w polityczną manifestację skierowaną przeciw polityce partii i rządu. Demagogiczne wystąpienia szeregu członków ZLP na tym zebraniu, a także atmosfera ekscytacji politycznej, jaka została na nim wytworzona — stanowi wyraz od dawna podejmowanych przez niektórych naszych kolegów działań, których skutkiem może być tylko stworzenie głębokich konfliktów politycznych w naszej pisarskiej społeczności. Jako reprezentacja tej społeczności, powołana do strzeżenia dobra kultury narodowej i socjalistycznego jej rozwoju, a także interesu środowisk pisarskich w całym kraju — uważamy za wysoce szkodliwe wszelkie tego rodzaju manifestacje.

Jesteśmy stowarzyszeniem ludzi o różnych światopoglądach filozoficznych; postawach artystycznych. Związek Literatów Polskich stanowi dla środowisk pisarskich całego kraju szeroka platformę swobodnej wymiany myśli.

Lecz Związek Literatów — co określa jego statut — stoi na stanowisku politycznej akceptacji ustroju Polski Ludowej i jej socjalistycznej perspektywy rozwojowej. Perspek-

Rezolucja walnego zebrania łódzkiego oddziału ZLP

W dniu 21 bm. obradowało walne zebranie oddziału łódzkiego Związku Literatów Polskich, które przez akklamację podjęło następującą rezolucję:

„W związku z gwałtownym ożywieniem się w kraju i za granicą sił wrogich Ojczyźnie pisarzy robotniczej Łodzi, obecni na swym dorocznym walnym zebraniu uważają za swój obywatelski obowiązek oświadczyć, co następuje:

Literatura polska, której dziejowy dorobek staramy się w miarę sił i możliwości naszych pomnażać, była, jest i będzie związana z narodem polskim i jego najżywotniejszymi interesami, z jego podstawową obecnie warstwą społeczną — klasą robotniczą. Pisarze polscy w poczuciu swej odpowiedzialnej roli w życiu zbiorowym narodu zawsze strzegli i strzec będą wszystkich szlachetnych i postępowych wartości w naszym kulturalnym dziedzictwie.

W stosunku do tego właśnie dziedzictwa trwa nieprzerwanie kampania kłamstw i oszczerstw, kierowana przez obecne nam siły polityczne zwłaszcza zaś przez międzynarodowy syjonizm. Stajemy w jednym szeregu ze wszystkimi patriotami w obronie naszych tradycji, protestujemy przeciwko szkalowaniu dobrego imienia naszej Ojczyzny, solidaryzując się zrazem z polityką naszej Partii i Rządu”.

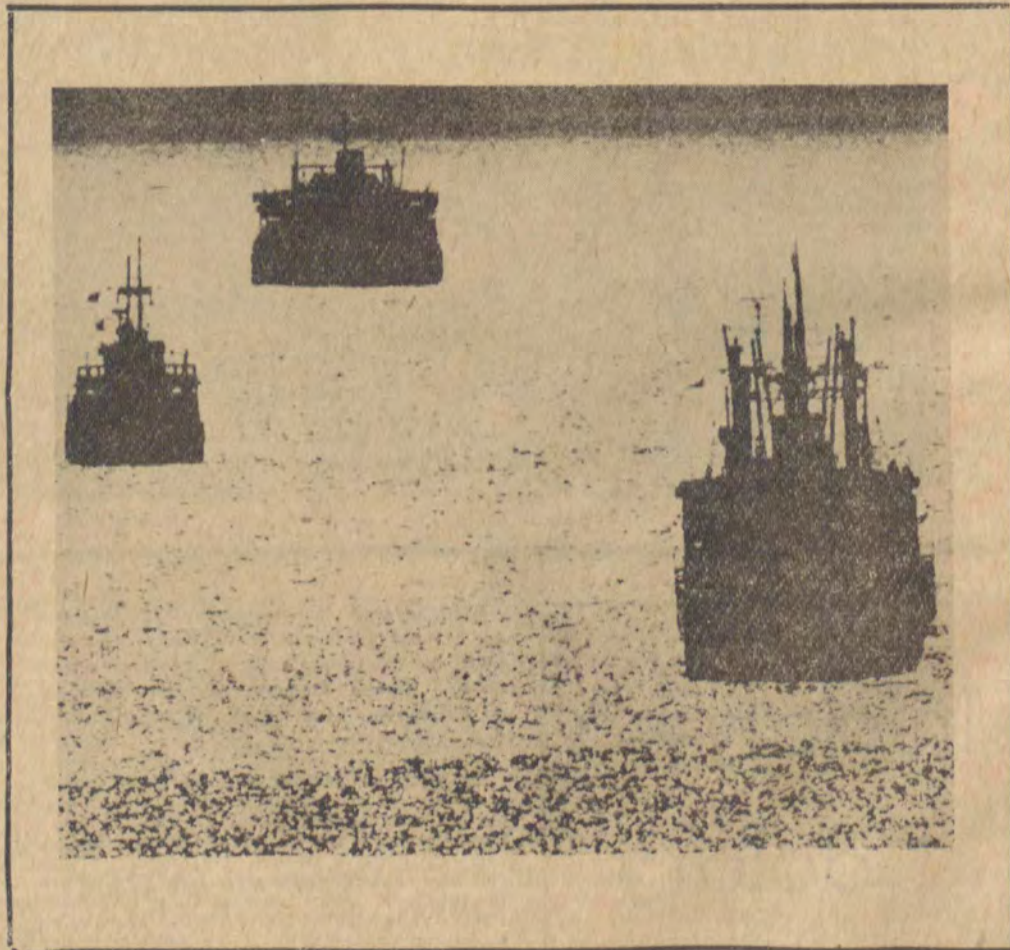
litycznym naszego stowarzyszenia.

Niestety, niektórzy członkowie Związku od szeregu lat swoją działalnością i wypowiedziami wyraźnie ten status naruszają, ujawniając nieprzejdaną wrogość wobec naszego ustroju i starając się pociągnąć środowisko literackie na płaszczyznę aktywnej opozycji wobec polityki naszego ludowego państwa.

Biorąc pod uwagę powszechną opinię społeczną, głosy środowisk literackich i uwzględniając żądanie organizacji partyjnych PZPR i ZSL przy Warszawskim Oddziale ZLP, Zarząd Główny postanawia — w myśl paragr. 30 i 32 statutu ZLP — skierować do Głównego Sądu Koleżeńskiego wniosek o usunięcie z szeregów naszego Związku: Pawła Jasienicy i Stefana Kisielewskiego oraz ponowić wniosek o usunięcie z ZLP Januarego Grzędzińskiego. Wnioski te dyktuje nam głęboka troska o to, by ZLP nie stawało się

w przyszłości forum dla działalności politycznej skierowanej przeciw podstawowym zasadom ustrojowym i założeniom polityki Polski Ludowej. Uważamy jednak za konieczne zastrzec, iż nasz stosunek do politycznego charakteru działalności poszczególnych pisarzy nie obejmuje ich dzieł literackich. Dzieła te — jeśli zawierają poważne i godne szacunku wartości — powinny być obecne we wsobocześniejszym życiu kulturalnym naszego narodu.

Zarząd Główny ZLP reprezentując wszystkie środowiska literackie naszego kraju, uważa za potrzebną wszechstronną i rzeczową dyskusję ideową na wszystkich obszarach kultury, sztuki, oświaty. Rozwój takiej dyskusji jest jednym z ważnych warunków udziału pisarzy we współtworzeniu wartości naszej współczesnej kultury narodowej i socjalistycznej świadomości polskiego społeczeństwa.



50 LAT

„Głosu Nauczycielskiego”

ROZMOWA Z KAROLEM KLIMKIEM

W maju br. minie 50 lat od zwołania pierwszego organizacyjnego zebrania Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego Szkół Początkowych w Łodzi.

Kiedy w grudniu 1916 r. na zjeździe w Radomiu nastąpiło zjednoczenie organizacji nauczycielskich na ziemiach byłego Królestwa, na czele Zarządu nowej organizacji — Zrzeszenia NPS — stanęli ludzie postępowi, jak Karol Klimek, Stefania Sempolowska, Zygmunt Nowicki, Ksawery Prauss i Kazimierz Mamczar. Byli to przedstawiciele lewicy, którzy wywarli duży wpływ na kształtowanie się polskiego ruchu nauczycielskiego.

Jedną z uchwał zjazdu (uchwała 2) zwała wszystkie istniejące w kraju organizacje nauczycieli szkół początkowych do natychmiastowego przystąpienia do Zrzeszenia NPS. Nauczyciele Łodzi już w lutym 1917 roku na posiedzeniu Tymczasowego Zarządu Głównego Zrzeszenia NPS w Warszawie wyrazili swoją gotowość przyłączenia się do Zrzeszenia. W grudniu tegoż roku, na Zjeździe Delegatów Zrzeszenia, przedstawiciel Łodzi, Tomasz Wasilewski, oświadczył, że nauczyciele łódzcy w najbliższym czasie przystąpią do otwarcia oddziału Zrzeszenia.

Prezesem Zarządu Głównego Zrzeszenia został Karol Klimek, znany pedagog, pilaszkowice, później przewodniczący sądu koleżeńkiego przy Zarządzie Głównym ZNP, który rozumiał potrzebę pisma dla rzeszy nauczycielskiej. Z jego to głównie inicjatywy powstał „Głos Nauczycielski”, czasopismo odzwierciedlające Prace Zrzeszenia NPS.

Karol Klimek jest autorem wielu prac drukowanych w „Głosie Nauczycielskim”, „Przeglądzie Historyczno-Oświatowym”, w „Oświacie Dorosłych”, związanych z ruchem nauczycielskim i walką o szkołę polską w czasach zaborów.

Odwiędziałam pierwszego redaktora „Głosu Nauczycielskiego” w jego mieszkaniu. Karol Klimek był po ciężkiej chorobie, lecz przyjął mnie życzliwie, gdy pokazywałem mu pierwszy rocznik „Głosu Nauczycielskiego” — 1917-1918 r. — zadałem pytanie: — Co może mi Pan powiedzieć o swojej pracy w redakcji „Głosu Nauczycielskiego”?

— Dzieje „Głosu Nauczycielskiego” związane są z historią Związku Nauczycielstwa Polskiego. Od zarania swoich dni „Głos” jest centralnym organem Związku, w nim znajdują odbicie wszystkie najważniejsze problemy życia nauczyciela i szkoły. Z tej trybuny rozlegały się głosy doty-

czące spraw wychowania, nauczania, oświaty i kultury.

— W jakich okolicznościach i za czym staraniem powstał „Głos Nauczycielski”?

— Myśl wydania pisma nauczycielskiego zrodziła się już wcześniej, na zebraniach organizacji, ale dopiero w styczniu 1917 r. Komitet Wykonawczy Komisji Organizacyjnej Zrzeszenia postanowił starać się o koncesję na wydawanie „Głosu”. Niestety, urzędujące na Ratuszu warszawskim władze niemieckie wciąż zwlekały z zatwierdzeniem naszych wniosków. Uplywały miesiące bez od powiedzi. Wreszcie dnia 27 marca 1917 r. dostaliśmy pozwolenie na wydanie „Głosu Nauczycielskiego”.

Na uwagę zasługuje fakt, że Zrzeszenie uzyskało prawo działania na obszarach zarówno okupacji niemieckiej, jak i austriackiej. Niemcy po nie wczasie zorientowali się, że im nie wolno wtrącać się w prawa Austriaków, ale nie cofnęli zezwolenia zapewne ze względu na swój prestiż i zmianę kursu politycznego wobec spraw polskich. Chcieli pozyskać dla siebie Polaków.

— Kto wchodził w skład redakcji i z kim „Głos” współpracował?

— Posiadając koncesję, Zarząd Zrzeszenia przystąpił do powołania redakcji „Głosu Nauczycielskiego”. W skład redakcji weszli: Adam Dorot, Karol Klimek, Adam Koziara, Andrzej Legat, Ksawery Prauss i Zygmunt Nowicki, a redaktorem odpowiedzialnym został K. Klimek, Komitet redakcyjny niezwłocznie rozpoczął swoją działalność, odbył kilka wstępnych narad, poświęconych organizacyjnym sprawom pisma i najpilniejszej jego problematyce w zakresie treści drukowanych artykułów. Wszystkich uczestników zebrania ogarnął wielki zapał i entuzjazm. Zdawali sobie sprawę, że idziemy na spotkanie Polski niepodległej. Zrodziłyśmy się przecież w czasach niewoli i dlatego nie szczędziłyśmy sił ani czasu. Pracowaliśmy bezinteresownie i ofiarnie z myślą o wolnej i sprawiedliwej ojczyźnie. Cieszyliśmy się, że pismo służy dobrej sprawie i zaczyna nabierać rumieńców życia.

Do współpracy z „Głosem” zaprosiliśmy: Anielę Szycofnę, Marię Li-brachową, Irenę Kosmowską, Annę Czerwińską, Stefanę Sempolowską, Mariannę Falskiego, Stanisława Dobrowskiego, Stanisława Szobera, Stefana Rudniańskiego, Jana Woźnickiego, Czesława Drabarkę i innych. Wymienieni umieszczali swoje artykuły w „Głosie”. Redakcja zamawiała też prace specjalne u wybitnych znawców higieny szkolnej, jak dr Kopczyński, dr Sznurło.



Spośród członków pierwszego Komitetu Redakcyjnego, oprócz mnie, nikt nie żyje. Występując w roli ostatniego, Mohikana, powiedział Karol Klimek żartobliwie.

— Jakie sprawy w tym okresie interesowały Związek i ogół nauczycieli i czy w „Głosie” znalazło się ich odbicie?

— „Głos” był wtedy miesięcznikiem. Jego charakter określało samo życie. Potrzeby były wielkie i różnorodne. Przecież odłogiem leżały prawie wszystkie sprawy nauczyciela i szkoły. Dużo uwagi poświęcał „Głos” zagadnieniom pedagogiczno-dydaktycznym, metodycznym, powszechności nauczania, organizacji szkolnictwa, sprawom kształcenia i bytu nauczycieli. Najpilniejsza jednak wydawała się w tym okresie sprawa zorganizowania rozproszonych nauczycieli w zwarty, jednolity organizm. „Głos” stał się łącznikiem Warszawy z terenem. Rozwinęła się żywa współpraca redakcji „Głosu” z korespondentami terenowymi.

Ważnym ośrodkiem ruchu i życia nauczycielskiego była Łódź. W Łodzi istniało wówczas Stowarzyszenie Nauczycieli Chrześcijan, które składało się z sekcji Elementarnego Nauczania i Szkolnictwa Średniego. Do Łodzi przybyłem 2 marca 1918 r. na zebranie sekcji Elementarnego Nauczania, aby przyspieszyć przyłączenie Stowarzyszenia do Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskich Szkół Początkowych, co nastąpiło już 16 marca tego roku.

W maju 1918 roku zorganizowane zostało pierwsze zebranie Zrzeszenia NPS w Łodzi. W skład Zarządu, jak przypominam sobie, weszli: K. Papis, T. Wasilewski, Petrykowski i inni. Postać Tomasza Wasilewskiego, jako wybitnego działacza Związku, utkwiała mi szczególnie w pamięci. Człowiek ten pracował bez wytchnienia dla idei organizacji. Dowiedzieliśmy się, że zginął w Radogoszczu, bardzo tę wiadomość przeżyłem.

— Co uważa Pan za osobiste osiągnięcie w okresie powstania „Głosu”?

— Najważniejszym krokiem było

uzyskanie koncesji na wydawanie „Głosu Nauczycielskiego”. Nie mogłem mówić tylko o sobie. Praca nad wydawaniem i rozpowszechnianiem „Głosu” była wspólną sprawą Zrzeszenia i Komitetu Redakcyjnego. Dziś, gdy wracam myślą w przeszłość, składam hołd tym wszystkim, którzy trudzili się dla dobra „Głosu Nauczycielskiego”, pracując w warunkach często gorzej niż prymitywnych, zdani nieraz tylko na własne siły i możliwości.

Działalność ZNP i „Głosu Nauczycielskiego”, tygodnik społeczno-oświatowy, w dalszym ciągu mnie interesują, właściwie żyłem tym całe życie. Jubilatowi, jakim jest „Głos Nauczycielski” poświęcam specjalny artykuł w „Przeglądzie Historyczno-Oświatowym”.

— Dziękuję za rozmowę i życzę Panu rychłego powrotu do zdrowia.

ROZMAWIAŁA: KRYSZYNA OSSOWSKA — TOBOLA

Nożycami przez PRASĘ

25 ROCZNICA

To był najbardziej pamiętny Wielki Tydzień w Warszawie. Wydarzenia sprzed 25 lat przypominają cała prasa. M. in. Jan Gajewski pisze w „Kulturze”:

Kiedy z bronią w ręku zagroździł drogę hitlerowcom do swych ostatnich już domów, nie o zwycięstwo im chodziło, nawet nie o przetrwanie. Po setkach tysięcy, milionach swych braci w upodleniu zapędzonych na stosy i do komór gazowych, zagłodzonych na śmierć, wdeptanych w błoto — oni, powstańcy getta warszawskiego — zapragnęli umrzeć jak człowiek, z honorem, z bronią w ręku, narażając na twarz oprawcy, mając na ustach nie krzyk rozpacz i trwogi, a wyzwanie, okrzyk bojowy. Cóż, że beznadziejna była ta walka. Ale przecież nie bez znaczenia, jak każda walka w słusznej sprawie, jak każda ofiara. To są wartości niezniszczalne — wówczas były jeszcze jednym ostrzeżeniem dla świata, przykładem nieugiętości, dziś niosą swym echem wiele nauk i refleksji.

W dalszym ciągu swoich rozważań autor stwierdza:

Walka getta, podobnie jak martyrologia, była częścią składową polskiego Ruchu Oporu. ZZW na zasadach autonomii wchodził w skład AK, ZOB należała do lewicowego nurtu walki wyzwolenczej, współdziałała z Gwardią Ludową. Czy w ówczesnej sytuacji mogliśmy się zdobyć na otwarte masowe wystąpienie po stronie Żydów, co musiałoby być równoznaczne z powstaniem ogólnonarodowym? Czy byliśmy do tego gotowi, czy walka taka miałaby choć najmniejszą szansę zwycięstwa? Czy w istniejących warunkach nie uczyniliśmy warszawskiego — zapragnęli umrzeć jak człowiek, z honorem, z bronią w ręku, narażając na twarz oprawcy, mając na ustach nie krzyk rozpacz i trwogi, a wyzwanie, okrzyk bojowy. Cóż, że beznadziejna była ta walka. Ale przecież nie bez znaczenia, jak każda walka w słusznej sprawie, jak każda ofiara. To są wartości niezniszczalne — wówczas były jeszcze jednym ostrzeżeniem dla świata, przykładem nieugiętości, dziś niosą swym echem wiele nauk i refleksji.

nie zawaha się w daniu odpowiedzi.

SPRAWA WIELKIEGO NAMYSŁU

Nie tak dawno przytaczaliśmy na tym miejscu fragmenty wypowiedzi prezesa PAN-u, prof. J. Groszkowskiego. Dotyczyła szkolnictwa wyższego — organizacji badań naukowych i kształcenia specjalistów.

Na łamach tejże „Polityki” podejmuje temat Maciej Iłowicki w artykule „Drzwi do jutra”.

Trudno na tym miejscu wchodzić w szczegóły. Powracając do tej jakże ważnej problematyki, krytykując przestarzałą strukturę uczelni, autor jednocześnie przestrzega: I jeszcze jedna, jakże ważna sprawa: uczelnie nie znoszą reformy. Proces kształcenia zaczyna się przy zbyt częstych zmianach. Jeśli trzeba zdecydować się na zmiany, na reformy, niechże będą one skierowane ku przyszłości, niech uwzględnią przewidywane, podstawowe zmiany społecznego społeczeństwa. Niech pozwolą szkołom wyższym dostosowywać się do tych tylko zmian, a ochronić przed przemijającymi aktualiami.

AUTORKA „KRZYŻOWCÓW”

Śmierć Zofii Kossak-Szat-kowskiej przyniosła na razie wspomnienia okolicznościowe. W przyszłości zapewne krytycy — jak zwykle, z opóźnieniem — zajmą się dorobkiem popularnej i cenionej pisarki.

Pochodziła z rodziny, której wkład do kultury polskiej sta-

nowi bezsporną wartością. Była wnuczką Juliusza Kossaka, stryjeczna siostrą Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

L. M. Bartejski („Kultura”) żegna zmarłą, przypominając: Odesza od nas pisarką wielkiego serca i niebywałej wprost skromności — Zofia z Kossaków Szczucka-Szat-kowska. Jej życie upłynęło w poszukiwaniu obowiązków pracy dla społeczeństwa, pojmuwanej jako akt chrześcijańskiej pokory. Nie szukała bowiem sławy, uznania czy tym bardziej rozgłosu. Mogło się nawet wydawać, że nie nie żądała od świata, ani zaszczytów, ani stanowisk, dając mu w zamian wszystko. A głównie — swą twórczość. To wpływało na przekonania Zofii Kossak, to wpływało także z Jej wielkiej dobroci.

I dalej:

Pomagała ukrywającym się Żydom i tym, których trzeba było wydobyć z getta. Była przeciw członkiem „Żegoty”, a nieczemu nie czyniła bez zarzku. Była ich opiekunką i pocieszycielką. Kiedy jeden z pisarzy, poznawszy ją w tych latach, zapytał o pracę literacką, zakrzyżowała go, że teraz nie czas na twórczość, lecz na walkę. Pisała broszury polityczne, jedna z nich „Protest” (1943), wyrażała Jej głębokie zaniepokojenie gwałtami hitlerowskimi, dokonywanymi się na ludności żydowskiej. Była czynną działaczką podziemia i krążyła po Warszawie pod przybranym nazwiskiem.

Pisarkę pochowano w rodzinnych Górkach Wielkich koło Cieszyńska.

DZIWNE PERYPETIE

Okazuje się, że nietawo wydawać u nas takie książki jak „Ten jest z ojczyzny mojej” lub „Warszawski pierścień śmierci”. Perypetie tych dzieł opisuje właśnie Władysław Bartoszewski w liście skierowanym do „Życia Warszawy”.

Wydawnictwo „ZNAK” zgłosiło w swym planie wydawniczym na rok 1960 moją książkę pod (tymczasowym) tytułem „Działo się to w Warszawie 1939-1944”, której poważna część (ponad sto stron) dotyczyła egzekucji na Palmirach, egzekucji ulicznych i innych przejawów terroru okupanta w Warszawie. Książka uzyskała pozytywną ocenę prof. dra Stanisława Płoskiego, ówczesnego kierownika Zakładu Historii Polski w II wojnie światowej Instytutu Historii PAN. Dyrektor Departamentu Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki nie uznała jednak za możliwą akceptację tej pozycji w planie wydawniczym „Znaku” i to mimo dwóch pisemnych interwencji dyrektora Wydawnictwa. Wydawca, nie rezygnując łatwo, zgłosił rzecz ponownie w planie wydawniczym na rok 1961, lecz i tym razem — mimo czterokrotnej pisemnej interwencji wydawcy, zwracającego m. in. uwagę na szczególne znaczenie i wartość patriotycznego dzieła — Dyrektor Departamentu Wydawnictw MKiS odmówił kategorycznie — pismami z 8. IV. i 30. VI. 1961 r. — zgodę na wydanie przez „Znak” w/w książki.

W tej sytuacji skorzystałem — po roku — z możliwości podpisania (jesienią 1962 r.) umowy z Zachodnią Agencją Prasową (obecnie Interpress) na wydanie przynajmniej części omawianej książki. Wydanie to — po rozwinięciu tematu — doszło ostatecznie do skutku w postaci „Warszawskiego pierścienia śmierci”.

Czuję się wobec tego zmuszony stwierdzić, że nie brak „chęci albo ambicji” Wydawnictwa „Znak”, lecz inne, wyżej przedstawione okoliczności, wpłynęły na wydanie tej książki przez innego wydawcę. Przy okazji pragnąłbym dodać do wiadomości publicznej, że książka „Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945” ukazała się w ogóle tylko w wyniku wyjątkowo uporczywych zabiegów Wydawnictwa „Znak” oraz niżej podpisanego. Pierwotne zgłoszenie tej książki do wydania przez „Znak” z 7. XI. 1961 r. (sic!) spotkało się z kategoryczną odmową Departamentu Wydawnictw MKiS mimo pisemnego uzasadnienia konieczności wydania tej pracy w celu przeciwdziałania się wrogiej Państwu i Narodowi Polskiemu propagandzie określonych ośrodków na Zachodzie. Pozytywnemu stosunkowi kierownictwa „Znaku” do wydawcy i Sztuki zawdzięczać należy, że pierwsze wydanie książki o pomocy Żydom ujrzało światło dzienne i że w najbliższych miesiącach ukazuje się drugie — poprawione i rozszerzone wydanie tej książki.

JAN OLECHNO

TRUDNY Werbunek

I ten nielegalny i ten legalny werbunek przeprowadzać można tylko teraz. Latem nie ma się na wsi co pokazywać. Wiadomo, jeśli na niektórych terenach nie ma pod dostatkiem roboty przy żniwach, to są przecież przedsiębiorstwa: melioracyjne, geodezyjne, naftowe, drogowo itp. Dla „biednej kanalizacji” pozostaje tylko zima.

W województwo łódzkie, czyli na werbunek legalny, też już nie ma się co zapuszczać. Kanalizacja ma zezwolenie na 12 powiatów i powiaty te są zjeżdżone wzdłuż i wszerz, więc po wsi. Tam, gdzie można było kogoś zwerbować, zwerbowano już dawno. Pozostaje tylko werbunek nielegalny, partyzancki.

Siadają więc: kierowniczka działu kadr, sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, przewodniczący rady zakładowej — siadają do służbowej „warszawy”, kierowniczka napełnia zbiornik „po brzegi”, w bagażniku umieszcza dwa zapasowe kanistry z paliwem — i jadą hen, na kraniec Polski, w województwo lubelskie, białostockie...

Wybierają drogi, których nie ma na mapie, szukają wsi i całych gromad leżących jak najdalej od ośrodków przemysłowych, za trzymują się tam, gdzie stan zabudowań i ziemia nasuwają przypuszczenia o nadwyżce rąk do pracy.

Zdarzyło się kiedyś, że przez kilka godzin stali w szczyrim polu, z wozem zakopanym w zaspach po osie. Innym znowu razem szękała z zimna zębami, oglądając się bezradnie za możliwością wypicia szklanki gorącej herbaty. Czasem musieli zawracać ze szlaków coś niecoś obiecujących, gdyż spytali innych werbowników, którzy już stamtąd wracali — wracali z niczym.

Inni werbownicy „pracowali” legalnie. Byli przedstawicielami kopalni i hut. A kopalnie i huty otrzymują zezwolenie na werbunek w całym kraju.

W kilku wsiach udawało się zebrać garstkę ciekawskich. Kierowniczka działu kadr, Zofia Mileczarek, obiecywała co się da, choć ciągle pamiętała o tym, aby nie przekraczać granicy przyzwoitości: praca w akordzie: za robek od 1500 do 2000 zł miesięcznie, obuwie i odzież ochronna, hotel robotniczy ze świetlicą, adapterem, telewizorem...

Zebrani — owszem, zadawali parę, nawet bardzo konkretnych pytań, przytakiwali głowami, zamysłali się głęboko, ale ostatecznie nie nikt nie powiedział „tak”.

Lokalne władze najczęściej pomagały zorganizować werbunek. Co rozsądniejsi funkcjonariusze urzędów gromadzkich i sołectkich zdawali sobie sprawę, że pozbycie się

nadwyżki rąk do pracy, to także interes ich wsi, gromady, regionu.

Ale zdarzali się i tacy, którzy z biurokratycznym temperamentem domagali się okazania dokumentów zezwalających na werbunek.

— Bo to wszystko ładnie — powiadali — ale praworzędność i porządek musi być.

Werbownicy wracali wtedy do wozów, po zostawione tam rzekomo dokumenty i: „Marek, szybko na gaz, jedziemy!”

1.

Razu jednego taki nielegalny werbunek dał przedsiębiorstwu pięciu młodych chwaczkich kopaczy. Dyrekcja Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Wodociągowo-Kanalizacyjnych postanowiła wprowadzić ich do pracy z honorami rzadko przypadającymi niewykwalifikowanym robotnikom.

Zafundowano im kino, teatr, załatwiono obiady w stołówce, a przez kilka pierwszych dni postanowiono odwozić ich z miejsc pracy do hotelu robotniczego samochodem. To ostatnie miało znaczenie szeregówne, gdyż miejscem pracy był wtedy Zabieniec, a hotel robotniczy znajduje się na krańcach ulicy Przybyszewskiego.

Młodzi, chwaczy kopacze nie poczuli się tym wszystkim ani trochę zobowiązani. Po tygodniu już nikt nie zobaczył ich przy wykopie kanalizacyjnym. Żeby to chociaż wrócili do swojej dalekiej wsi, albo przeszli do „konkurencji” w drugiej części miasta. Ale nie — oni, niewdzięcznicy, zaangażowali się u prywatnego właściciela pobliskich stawów — do wycinania lodu. I wycinali ten lód w odległości 100 metrów od wykopu kanalizacyjnego, na oczach pozostałych, pracujących tam jak dotychczas wiernie robotników.

Chcąc wytrzymać chociaż tydzień. Ale zdarzył się i tacy, którzy tylko zajrzeli do głębokiego na 10 m wykopu, nawet nie zamoczyli gumowców w kurzawce i szybko zawrócili do magazynu, aby oddać wcześniej wyfasowane wyposażenie robocze.

Nie, praca w kanalizacji nie jest atrakcyjna. Niektórzy mówili, że wolą kopalnie.

— W kopalni — mówili — głębokachno, a strach, ciemno jak w piekle, ale za to ciepło, za kolnier nie wieje i pieniądz jakis jest.

— Łódź jest szczególnie niezyciwa dla robót wodociągowo-kanalizacyjnych — mówi zastępca dyrektora MPRWiK do spraw technicznych, inż. Stanisław Piąstka. — Grunty są tu silnie nawodnione, pylaste, często występuje kurzawka, najgorszy wróg tych, którzy muszą rozdzierać skorupę ziemi.

2.

W czasie wyjazdów do odległych, nieuprzemysłowionych województw można zwerbować w zasadzie tylko kopaczy, ludzi bez kwalifikacji. A przecież przy robotach wodociągowo-kanalizacyjnych potrzebni są także fachowcy: monterzy, murarze kanałowi, brukarze, operatorzy pomp...

Stara kadra jest niemal z dnia na dzień coraz szuplaćsza; młodzi, przygotowywani przez odpowiednie szkoły między innymi do pracy w kanalizacji, wolać iść do budownictwa — zakładać wodociąg i kanalizować wnętrza budynków. Otrzymują tam, jeśli nie wyższe, to przynajmniej takie same zarobki, nie są narażeni na bezpośrednie działania mrozów, deszczów, wiatrów, podskórnych wód, a co za tym idzie — mają perspektywę na przeżycie starości bez reumatycznego łamania w kościach i bez dokuczliwości korzonków nerwowych.

Kanalizacja odczuwa również brak najwyższej kwalifikowanych specjalistów: inżynierów i techników. Niewiele tu pomaga stosowany od niedawna system stypendiów. Oczywiście, są tacy studenci, którzy chcą korzystać i korzystać ze stypendiów fundowanych przez kanalizację. Ale co z tego,

kiedy po skończeniu studiów kierują się oni do pracy gdzie indziej i albo zwracają pobrane stypendium z własnych funduszy, na raty, albo stypendium to zwraca przedsiębiorstwo, które ich zatrudniło.

— Wśród naszych inżynierów i techników — mówi dyrektor Piąstka — znaleźć można kilku takich, którzy właśnie pracując u nas pokochali zaczęły wyższe uczelnie i technika. Najlepszą drogą do zdobycia wysoko specjalizowanej kadry wydaje mi się zachęcanie tych pracowników, którzy mają odpowiednie warunki — do podejmowania nauki zaocznej na politechnice lub w technikum. Cóż, kiedy to bardzo długa droga...

3.

Przedsiębiorstwo Robót Wodociągowo-Kanalizacyjnych choruje na brak ludzi do pracy! Niemal wszystkie zobowiązania wykonywane są tam z opóźnieniem, wszelkie plany zawodzą. W minionym roku na przykład nie zrealizowano zleceń na około 2 miliony złotych.

Wynika to nie tylko z braku ludzi do pracy. Na niekorzystne wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa wpływają również trudności z zaopatrzeniem w materiały budowlane. Wystarczy powiedzieć, że Centrala Materiałów Budowlanych pokrywa zapotrzebowanie MPRWiK tylko w 30 proc., resztę trzeba zdobywać znanymi już z grubsza, partyzanckimi sposobami.

Kłopoty z zaopatrzeniem w materiały budowlane może rozwiązać odpowiednio operatywny wydział zaopatrzenia. Brakujących ludzi mogą zastąpić maszyny. Ale łatwiej o bystrych zaopatrzeniowców niż o maszyny, które mogłyby zastąpić w kanalizacji człowieka z łopata.

Oczywiście, i w kanalizacji istnieje coś takiego jak postęp techniczny, mechanizacja. Ale...

Zresztą spróbujmy przyjrzeć się tym zjawiskom bliżej.

4.

Przed siedmioma laty w MPRWiK nie było żadnej koparki. Teraz takich koparek jest 10. Cóż z tego. Urządzenia te mogą wybierać ziemię do głębokości najwyżej 3 metrów. Tymczasem średnia głębokość wykopów kanalizacyjnych w Łodzi oblicza się na 5 m.

A więc maszyny mogą wykonać za człowieka tylko połowę roboty, i to tej łatwiejszej roboty. Bo przecież wybieranie pierwszych warstw ziemi jest niemal błahostką. Woda i kurzawka zaczyna się przeważnie poniżej 2-3 m od powierzchni. Także poniżej 2 metrów zaczyna się komplikować sprawa wyrzucania ziemi na zewnątrz wykopu. Bo jakiego by trzeba chłopca, żeby z kilkumetrowego dołu potrafił rzucić pełną łopatą na górę.

Przed 10 laty ziemię wydobywaną z wykopów wywozili robotnicy konnymi wozami. Teraz i tę czynność zmechanizowano, likwidując wozaków a wprowadzając wywrotki.

Jaki jest praktyczny pożytek z takiej mechanizacji?

W tej chwili 7 samochodów-wywrotek stoi bezczynnie, gdyż nie ma do nich półosi! Jednak nie wszystkie roboty można w kanalizacji zmechanizować. Na dzisiejszym poziomie techniki jeszcze nie ma co mówić o mechanizacji prac rzemieślniczych. Na razie żadna maszyna nie potrafi układać i łączyć rurek czy kształtek kamionkowych, żadna maszyna nie wybuduje studzienki kanalizacyjnej i nie oszaluje czyli odeskuje — jak to trzeba mówić po polsku — wykopu.

Dlatego specjaliści od kanalizacji bledzą się nad tym, jak w inny jeszcze sposób można ułatwić człowiekowi pracę.

Próbuje się więc stosować depresyjne odwadnianie gruntów; tam gdzie to możliwe, próbuje się odpompowywać wodę zanim roz-

pocznie się wydobywanie ziemi; kopie się tzw. studnie zapuszczane, instaluje filtry...

Warszawskie Przedsiębiorstwo Wodociągowo-Kanalizacyjne wpadło na inny z kolei pomysł: postanowiło odwrócić dotychczasową kolejność prac. Zamiast najpierw kopać a potem szalować — postanowiło najpierw szalować a potem kopać. Nie wiadomo jak to praktycznie wygląda, w każdym razie zapobiega niebezpiecznemu i przynoszącemu wiele kłopotów obsuwaniu się ścian wykopu.

5.

Mechanizacja i postęp techniczny nie są w stanie rozwiązać trudności, jakie przeżywa przedsiębiorstwa robót wodociągowo-kanalizacyjnych w związku z brakiem ludzi do pracy. Nie pomoże tu chyba także partyzancki werbunek w najmniej uprzemysłowionych częściach kraju.

Znaczący problem twierdzą, że roboty wodociągowo-kanalizacyjne jako szczególnie trudne wymagają szczególnego uprzywilejowania. Nie może być tak, aby np. w budownictwie, gdzie praca jest łatwiejsza i zarobki były wyższe. Budownictwo i inne dziedziny gospodarki nie mogą zabierać kanalizacji fachowców.

Regulacji wymaga również wiele zagadnień występujących „wewnątrz” przedsiębiorstw wodociągowo-kanalizacyjnych. Np.: w wypadku mrozu powyżej 10 stopni robotnicy nie są o prawda zobowiązani przebywać na swych stanowiskach roboczych, ale otrzymują wtedy tylko b. niską dniówkę, co wpływa dosyć dotkliwie na całokształt ich zimowych i tak przecież niezbyt wysokich zarobków.

W kanalizacji zatrudniony jest mimo wszystko spory procent robotników, którzy mają za sobą po kilkanaście, a nawet kilkudziesięć lat pracy w swych zawodach. Nic dziwnego, że robotników tych zaczynają po trochu nieść zawodowe choroby: reumatyzm i korzonki nerwowe. Bardzo często byłoby wskazane przesunąć takich ludzi na pewien okres do innych prac, umożliwiających im wyleczenie zaczynających występować chorób. Niestety, w tej chwili możliwości takich nie ma.

6.

Jaś się powieździł, w kanalizacji pracuje wielu ludzi, którzy związani są ze swym zawodem i przedsiębiorstwem od wielu lat.

Wśród nich są także ludzie pochodzący spoza Łodzi. Ogromna większość aktualnych mieszkańców hotelu robotniczego na Przybyszewskiego ma za sobą ponad pięć lat praktyki w MPRWiK. Nie są to jedynie monterzy, murarze czy inni specjaliści. Z kanalizacją związani są również od wielu lat zwykli kopacze, jak np. Kazimierz Kosmała, Henryk Grzybek, Wacław Banach... Notabene „zwykli kopacze” w kanalizacji też muszą wiele umieć. Zapełnienie surowy człowiek nigdy nie poradziłby sobie z zaobaleniem szalunku czy z kurzawką.

A więc okazuje się, że chociaż praca jest trudna, ciężka, niebezpieczna i nieproporcjonalnie do wysiłku wynagradzana, to jednak mimo wszystko można się do niej przywiązać, mieć z niej satysfakcję.

Chociaż w codziennej praktyce satysfakcja ta nie zawsze występuje na plan pierwszy. Znacznie częściej przychodzi przeżywać rozgoryczenie, znacznie częściej chciałoby się rzucić kilof i łopatę, odnieść wyfasowane ciuchy do magazynu i iść wycinać lód do przywaciarza, albo zgłosić się na budowę do podawania cegieł i mieszania wapna.

pracy handlowców i odwrotnie. Próbuje się łączyć obie te dziedziny. Przykład „Befama” w Bielsku-Białej. Przemysł nie jest jednak przygotowany na tego typu dary. Jedyne wyjście — ściślejsza współpraca handlu zagranicznego i przemysłu i stopniowe przejmowanie kompetencji przez przemysł.

J. SZCZECIŃSKI — Problem ten widzą pracownicy handlu zagranicznego. Mówi się nawet o wymianie pracowników między zjednoczeniami i centralami handlowymi. Są to oczywiście luźne propozycje, ale czasami bardzo interesujące. Np. jedna z nich mówi, aby ustanowić delegatów central handlowych w zakładach, inna — aby komórka eksportu zjednoczenia przestała być jednostką sprawozdawczą, a stała się — koncepcyjną i koordynacyjną.

J. PAJCHEL — Jest jeszcze sprawa samej struktury central handlu zagranicznego. Z jednej strony działają u nas przedsiębiorstwa, które zajmują się tylko kupnem towarów i surowców za granicą, a z drugiej — sprzedają wyrobów krajowych. Jest to marnotrawstwo kadry — nie tak znów licznej. Gorzej, bo tego typu dwójność prowadzi do zawężenia pola widzenia, z którego ucieka możliwość bilansowania. Nie bardzo w końcu wiadomo, jaki jest rezultat transakcji, ile wydano na surowce, z których potem wykonano towar eksportowy. Nie wiadomo też, czy w wypadku deficytu maszyn na rynku krajowym bardziej opłaca się ograniczyć eksport czy sprzedawać maszyny krajowe a kupować zagraniczne?

Z. STARZEŃSKI — Dlatego dąży się do integracji działalności niektórych łódzkich central. W moim przekonaniu warto zastanowić się nad celowością działania aż trzech central handlu zagranicznego we włocławickim.

„ODGŁOSY” — Problem na pewno godny rozważenia, gdyż połączenie handlu odzieżą i tkaninami może wyjść na korzyść gospo-

Inicjatywa i dolary

Dalszy ciąg ze str. 1

wspomnieć, że jeszcze w 1960 roku wywóz towarów pochodzących z zakładów przemysłu lekkiego stanowił 65 proc. całego eksportu Łodzi, a wyroby przemysłu ciężkiego zaledwie 9 proc. W ubiegłym roku stosunek obu dziedzin wytwarzania uległ zmianie. Towary pochodzące z zakładów przemysłu lekkiego stanowiły 45 proc. łódzkiego eksportu, a towary pochodzące z zakładów przemysłu maszynowego i ciężkiego — 34 proc. Tendencja stałego zwiększania sprzedaży maszyn i urządzeń powinna utrzymywać się. Od czego ona zależy, jakie są jej źródła?

J. PAJCHEL — Odpowiedź na postawione pytania trzeba rozpatrywać na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze — czym możemy handlować i to dotyczy nowoczesności i konkurencyjności proponowanych zagranicznym kupcom towarów i po drugie — jak będziemy handlować i to wiąże się z metodami handlu. Zarówno przemysł lekki jak i ciężki mają możliwości stałego zwiększania zagranicznej sprzedaży. Chodzi o to,

czyje towary bardziej opłaca się sprzedawać — przemysłu lekkiego czy maszynowego?

B. MUSZYCKI — Do nowoczesności dąży zarówno przemysł ciężki jak i lekki. Co więcej — powodzenie programu unowocześniania wyrobów przemysłu ciężkiego zależy od powodzenia realizacji programu w przemyśle lekkim. Rekonstrukcja poszczególnych dziedzin przemysłu lekkiego da ludzi dla fabryk elektrotechnicznych i budowy maszyn. Rekonstrukcja zadecyduje o dalszym powodzeniu eksportu przemysłu lekkiego. Zagraniczny kupiec szuka nie tylko dobrego wykonania, także znajduje z łatwością, ot choćby w ZPO im. dr Próchnika — on szuka również nowoczesnego wykończenia — apretur przeciw brudowi, kurezliwości, trwałego zaprasowania. Jednym słowem, wszystko zaczyna się od inwestycji, od racjonalnego wykorzystania funduszy szybko rentujących się.

Z. STARZEŃSKI — Dlatego warto krytycznie spojrzeć na programy modernizacji przemysłu lekkiego. Nowoczesność zaczęto wprowadzać od początku — od oddziały przygotowawczego i przedziałni. Należało zacząć — wbrew logice — od końca, od wykończenia.

Nowoczesne wykończalnictwo nie zawsze idzie w parze ze wzrostem zapotrzebowania na wodę, co mogłoby być przeszkodą w rozwoju wykończalnictwa Łodzi. Najczęściej chodzi po prostu o zaistnienie urządzeń mechanicznych i kupno preparatów chemicznych. Brak wody odczuwa wiele ośrodków włókienniczych na świecie, nie tylko Łódź i ośrodkom tym jakoś nie przeszkadza to we wprowadzaniu nowoczesności w wykończalnictwie. Chodzi tu raczej o odważne, nowoczesne spojrzenie na problemy przemysłu włókienniczego, o zerwanie ze ślepotą tradycją, poglądem, że o jakości tkaniny decyduje surowiec.

B. MUSZYCKI — Nieco inaczej wygląda sprawa w przemyśle elektrotechnicznym i maszynowym. Jego rozwój zależy od inwe-

stycji i nowych konstrukcji. W pierwszej sprawie decydują finansowe możliwości państwa. W drugiej — umiejętności konstruktorów. Czy przemysł te nie mogą zrobić w ramach aktualnie istniejących możliwości?

Przykładem mogą tu być Łódzkie Zakłady Radiowe, które nie mogą z różnych względów uporać się z produkcją adapterów. Czy muszą ją utrzymać? Sądzę, że znalazłoby na pewno inne możliwości. Swego czasu był to licencyjny magnetofon. W najbliższym czasie może nadarzyć się coś innego. Trzeba tylko wykazać inicjatywę.

Podobna sytuacja istnieje w Łódzkiej Fabryce Zegarów. Czy musimy produkować budziki? W dodatku nie najlepsze. Fabryka ma szansę na zupełnie inną produkcję.

„ODGŁOSY” — Tendencje i możliwości rozwijania eksportu mają wszystkie zakłady. Dla kraju większe korzyści przynosi eksport wyrobów przemysłu ciężkiego. I tu musi przebiegać główny front walki o nowoczesność. Przy czym musi to być „najnowocześniejsza nowoczesność”, bo ona decyduje o całej gospodarce.

Z drugiej strony — powodzenie handlu zagranicznego zależy od form i metod pracy central, od współpracy z przemysłem. Jakże to są możliwości poprawy i usprawnień?

Z. KARASIŃSKI — Sytuacja w tej chwili wygląda tak, że handel zagraniczny i przemysł stanowią swoiste połączenie — pewien rodzaj braci syjamskich. Najwyraźniej widać to przy okazji wyjazdów zagranicznych. Handlowiec zna rynek, procedury, przepisy. W momencie wejścia na grunt techniki, traci oddech i szuka ratunku, ale najczęściej nie ma go pod ręką. W wyjazdach zagranicznych nie zawsze biorą udział przedstawiciele przemysłu.

Jak pokonać barierę między handlem a przemysłem? Przemysł musi wykonać plan eksportu. Zależy to również od wyników

Ustaw się, kolego!

Dalszy ciąg ze str. 1

twierdzić, że podstawowo, jest kierownikiem artystycznym ZRF „Sirena”, nadzoruje średnio, nie mylić, że społecznicy, produkcję pięciu filmów fabularnych rocznie. Dziekan Wydziału Reżyserii Filmowej, prof. Jerzy Bossak, jest również (a przynajmniej był do niedawna) kierownikiem artystycznym ZRF „Kamera”, nadzoruje średnio (niezależnie od produkcji własnej) cztery filmy fabularne i sprawował nadzór średnio nad produkcją pięćdziesięciu filmów w Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie. Dodajmy, że nieobecność prof. Jerzego Bossaka na PWSTIF w roku 1965 wyniosła 79 dni, a już do listopada roku 1966 — 72 dni, inni wykładowcy mieli również poważne zaniedbania w wykonywaniu obowiązków ich pensum zajęć. W niektórych wypadkach ich nieusprawiedliwiona nieobecność sięgała 20 tygodni na 32 tygodnie nauki w roku akademickim. Jeśli się nad tym zastanowimy, otrzymamy właściwą temperaturę gorączkowskiej wielu wykładowców PWSTIF w wyszukiwaniu sobie intratnych zajęć. Otrzymamy również uproszczony obraz ich stosunku do szkoły, która dla wielu innych jest szczytem nieziszczalnych marzeń.

W uczelni z ulicy Targowej lansuje się też o silnych nerwach. Studia kończą w terminie tylko ci — odporni psychicznie, no, i, rzecz jasna, obokrajowcy — załatwiani w pierwszej kolejności. Pozostali niezadługo odpadają na tej wyboistej drodze do stawy. Są zbyt wrażliwi, ucieszeni, nie potrafią nisko zgiąć karku, ganiąc za profesorami po korytarzach szkoły, szukać ich w wytwórniach i plenerach, wysłuchiwać: „Przyjdź za tydzień”, „Za miesiąc”, „Oh, przestań nudzić!”. I tu mamy chyba prawo zapytać, dlaczego dotąd nie zrobił dyplomu Grzegorz Królikiewicz, student czwartego roku „bis”, ten niezłoty „wyjątek” pochodzenia robotniczego. Zdawał do szkoły po studiach prawniczych, jako reżyser zapowiadał się dobrze, może nawet: bardzo dobrze, zrobił dwa niebanalne filmy: „Wyjście” i „Każdemu to, czego mu wcale nie trzeba”, za które uzyskał nagrodę w przeglądzie etiud szkolnych (1967) oraz wewnętrzną nagrodę uczelni za najlepsze absolutorium. Przed rokiem napisał scenariusz filmu dyplomowego, zaakceptowany zresztą przez asystenta. Wydawałoby się — ile nie stoi na przeszkodzie... A jednak, jak dotychczas, władze uczelni nie zajęły się sprawą Królikiewicza. Panowie rektorzy nie raczyli powiedzieć, czy scenariusz jest zły czy dobry, może trzeba coś poprawić? albo napisać nowy scenariusz? Bo łatwiej pisać od nowa, niż czekać miesiącami w niepewności. Królikiewicz jest dojrzałym człowiekiem, ma żonę i dziecko, nie pobiera stypendium, nie pracuje (czemu nie pozwala zabieganie wokół spraw szkolnych), próbował „strzelać” do „Semafora”, złożył tam trzy scenariusze — każdy bardzo dobry w ocenie Jerzego Mierzejewskiego, a zdecydowanie zły w opinii dyrektora Wytwórni

pana Brudzińskiego. Z czego ma żyć? A może powinien ująć się ambicją? Pluć na wszystko i odejść bez dyplomu? Owszem, są ku temu precedensy, byli już w dziejach szkoły tacy ambitni i nadwrażliwi studenci, dziwnym zbiegiem okoliczności: pochodzenia robotniczego i chłopkiego, którzy przerywali naukę i odchodzili. Odszedł na przykład Piotr Dąbrowski, chłop z Białostockiego, mający w swojej biografii dwa lata służby wojskowej i rok twardej roboty w Hucie „Częstochowa” — był najzdolniejszym studentem na roku — miał, choć to banalnie zabrzmiało, same „czwórki” i „piątki”, „rokował nadzieje”. Ale zderzenie ze środowiskiem skórzanych kurtek i połyskliwych samochodów, obcowanie na co dzień z teorią kina—KONSERWY i kina—INTERESU było nazbyt bolesne. Popytajcie przyjaciół Dąbrowskiego, oni wam powiedzą, jak się gnoliło tego „chłopka”. „Ty, Dąbrowski, nie w życiu nie zrobisz”. „Ty, Dąbrowski, postaraj się spier.... jakaś gwiazda”. „Podstaw się jakiemuś scenarzyście, albo pisarzowi, oni dużo mogą”. Dąbrowski, który stawał do egzaminów z przekonaniem, że forsuje wrota artystycznej szkoły, któremu się śniło, że nauczy go kręcić filmy o takich jak on: prostych, uczulonych ludziach, uwikłanych w konflikty życia, zagrzebanych po uszy w jałowej, sennej rzeczywistości wsi polskiej, który nie był na tyle słaby, aby ulec „żywczyliwym” radom kolegów, podjął gwierkę według ustalonych w szkole wzorów — odszedł, sam, z własnej nieprzymuszonej woli. Ale czy tylko takich przykładów dostarczają nam dzieje PWSTIF? Oto historia innego, jakże nielicznego „wyjątku” z nieinteligentnym paszportem. — Zdzisław Socha nie zrezygnował dobrowolnie ze szkoły. Zdzisław Socha nie uzyskał w terminie wymaganych zaliczeń i został, delikatnie mówiąc, skreślony z listy, mimo że starał się usilnie powrócić z awanturniczym, Zdzisław Socha jest synem tramwajarza i robotnicy. Pochodzi z Krakowa. Jako filmowiec, zapowiadał się obiecująco, zrobił wartościowy, wzruszający dokument o rehabilitacyjnym ośrodku dla dzieci, które uległy wypadkom tramwajowym. Reprezentował zapewne, ten zaangażowany nurt w najmłodszej kinematografii, dotkniętej po większej części stereotypem tematu: miłość, samotność, dziewczyna, zabawa i szkoła. Ale musiał odejść ze szkoły, bo nie dotrzymał terminów zaliczeń! Dlaczego? Z jakich powodów? Mało to władze uczelni obchodziło, że ojciec Sochy był chory na raka i umierał długimi tygodniami cierpiąc, że młody, nie zdeprawowany jeszcze chłopak przeżywał na ćwiczeniach i wykładach swój, może największy, dramat. W tym miejscu wypada zapytać, jak to się stało, że bez trudu reputuje drugi rok studiów niejaki Krakowski, syn kierownika produkcji jednego z zespołów? Nie przeżywał przecież rodzinnych tragedii. Był po prostu leniwy, mało zdolny. Ale lenistwo i brak zdolności bywają czasami wystarczającym usprawiedliwieniem.

Czy tylko takich przykładów dostarczają nam dzieje PWSTIF? Nie można pominąć milczeniem losów Polka Dunajskiego, syna kolejarza z Warszawy. Poldek był legendą ulicy Targowej. Zapowiadał się na miarę najlepszych. Brakło mu tylko, że tak powiem, pewnego rozeznania, wycucia koniunktury: ośmielał się rezonować, dochodzić swoich praw w ostrych dyskusjach z profesorami, nigdy — jak go pamiętają — nie potrafił za nisko się kłaniać. Dla takich w szkole nie ma miejsca. Został wydalony pod pierwszym lepszym pretekstem. Co robi dzisiaj? Lepiej nie mówić! Ale nawet jeśli zachował się w sposób niegodny Polaka — jego grzechy obciążają władze uczelni, tak jak obciążają je grzechy innych studentów: Frykowski, który wyjechał do Paryża i ganił się z zapalem do akcji pamfletowej na swój kraj, Berstein, który miał w Łodzi sprawę o pobicie, w Warszawie proces o gwałt: jeszcze wielu innych, niegodnych wspomnienia. Władze uczelni ponoszą

odpowiedzialność za morale swoich wychowanków, za ich bezdecepcyjność, kosmopolityzm (jakże mi się podobają paryskie korespondencje prof. Bohdziewicz, drukowane w „Ekranie”; uroczę plotki z jarmarku gwiazd i wampirów), za profil artystyczny szkolnych etiud, za ewanietwo, które większość studentów podejmuje jako życiową dewizę („swingiem”, „na chama”, „pokora”, „lizusostwem” — widocznie inaczej nie można, widocznie jest jakaś bariera, tarasująca uczciwą drogę do sukcesów. Wieści głosz, że niewiele brakowało, aby film roku, „Żyć z Mateusza” Leszczyńskiego, został w klasyczny sposób upupiony w szkolnym zarodku). Wreszcie władze uczelni powinny rozliczyć się przed społeczeństwem z najcięższego zarzutu, który mamy prawo postawić adeptom sztuki filmowej...

POGARDA!
Pogarda jest wszechobecna. Weseli chłopcy w skórzanych kurtkach pogardzają studentami Politechniki i Uniwersytetu, odnoszą się z niezrozumiałą wyższością do kolegów z innych artystycznych uczelni, muzyków i plastyków, bez których nie powstałby zapewne żaden film „robotniczków” i „urzędasów”, którzy na dobrą sprawę warunkują ich egzystencję, młodzieży pochodzenia nieinteligentnego, która tak sporadycznie, tak nieszczęśliwie rzadko przedziera się przez kordon egzaminów wstępnych w filmowej twierdzy: pogardzają, mam na to dowody, ustrojem: syn dostojnika, któremu resortowo podlegają sprawy kinematografii, nie kryje swych antysojalistycznych przekonań: kosmopolita, gogus władający trzema językami, zachowujący się bezczelnie na projekcjach filmowych i w knajpach (nie więcej, że ktoś o takiej „wrażliwości” może zrobić film), oklaskiwany i podziwiany przez koleżków „za odwagę”.

Niedawno podszedł do mnie w SPATIF-ie pijany w sztek student reżyserii, brodac o aestheticznej twarzy Chrystusa. Usiadł nie proszony. Powiedział:

— Postaw mi wódkę, matolku!
Trudno przytoczyć tu dialog, jaki się między nami rozegrał. Nieczczenalny. Ale brodac ubrał się nagle, że ktoś go posadził o syjonizm.

— Mnie! — krzyknął na cały głos. — Mnie, k.... którego w tym kraju dwadzieścia lat upier.... za to, że jestem księciem!!!

— Nie gniewaj się na niego — powiedział mój znajomy. — To fajny chłopak.

No, jasne. Fajny. Ludzki pan.
Owo ludzkie panisko zaczęło wszystkim dokola. Weszło trzech muzyków z Opery (A wy tu czego, chłopcy! Do kopalni!). Przechodził jakiś człowiek w zmietnym ubranku (Jazda stad, frajerze, bo się spóźnił na pociąg do Zgierza), obrażał kobiety, krzyczał z pańska na cierpliwego kelnera, ukradł z sąsiedniego stolika paczkę „Sportów”, a kiedy kelner prosił go grzecznie o zwrot, że to niby ściągnął przez omyłkę, zrobił minę niewiniątka...

Tak zachowują się studenci szkoły filmowej. Artyści. Sól narodu. Tak zachowuje się człowiek, którego wykształcenie kosztuje państwo siedemset—osiemset tysięcy złotych, a więc cztery razy tyle, co wykształcenie inżyniera czy ekonomisty. Chamstwo i pogarda. Zapiekła, obsesyjna pogarda. A przecież z samej pogardy nie robi się sztuki, wielkiej literatury i filmów o humanistycznej treści.

Zdaje sobie sprawę, że mój artykuł porusza tylko niektóre palące problemy uczelni z ulicy Targowej. Przejawów zła jest więcej, znacznie więcej. Nasuwa się długi szereg istotnych pytań. Dla przykładu: Jak to się stało, że po tej miary pedagogach, co Stefania Skwarczyńska, Aleksander Jackie-wicz i Lech Budrecki, senat szkoły powierzył wykłady z zakresu teorii literatury osobie niekompetentnej, niedouczonej? Na jakiej to zasadzie małżonka pana Wohla, prof. Billingowa, prowadzi ćwiczenia z zakresu „pracy reżysera z aktorem”, nie mając po temu żadnych predyspozycji? Czemu wiele przedmiotów jest tylko fikcją (program, jak mówią studenci, jest na pozór przeładowany zajęciami, ale leżymy bykiem)? A jak wygląda sprawa „wieloletowości” na Wydziale Aktorskim? Co na ten temat ma do powiedzenia np. prof. Walden?

Sytuacja dojrzała do gruntownych zmian. Reforma PWSTIF, przeprowadzona w duchu socjalistycznych — ideowych i artystycznych — wymogów, stała się nieuchronną koniecznością.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



darce. I jeśli dodać do tego „TEXTILIM-PORT”, który kupuje surowiec, to powstaje możliwość bilansowania importu i eksportu oraz operatywnego regulowania przy wozu surowca i wywozu wyrobów przemysłu włókienniczego.

Jest to na pewno propozycja godna zastanowienia. Nim jednak do tego dojdzie warto pomyśleć o korelacji zadań centrali handlu zagranicznego z centralami handlu wewnętrznego.

B. MUSZYCKI — Centrala Tekstylna-Odziewowa nie dysponuje jeszcze precyzyjnymi instrumentami pozwalającymi dokonywać analizy rynku. Nie wiadomo też, jaki jest udział odrzutów eksportowych w tzw. bublach, które leżą w magazynach. W tej sytuacji nie zawsze wiadomo, kiedy działania CTO stanowi obronę interesów klienta krajowego, a kiedy jest wynikiem niedoskonałości metod. I dlatego niezbędna jest współpraca przy planowaniu zamówień obu central, na giełdach i na bieżąco.

Z. STARZENSKI — Współpraca centrali handlu zagranicznego z przemysłem i handlem wewnętrznym ma inną często niedocenianą płaszczyznę. Myślę o obszernej sferze usług dla centrali handlu zagranicznego. Zastanawiające jest, że wiele spółdzielni pracy i niewielkich zakładów przemysłu terenowego — pracujących często w warunkach dość trudnych a nawet prymitywnych — sili się na własny eksport, na uzupełnianie przemysłu kluczowego — lekkiego, ciężkiego czy maszynowego. Czasami jest to uzasadnione warunkami, kiedy przemysł kluczowy nie jest w stanie „zaprząć sobie głowy” drobiazgom. Często jednak jest to dublowanie. Chciałbym się zastrzec, że nie mam na myśli spółdzielni rzemieślniczych, zajmujących się niepowtarzalną produkcją o wysokich walorach artystycznych.

Rzecz w tym, że centrale handlu zagranicznego potrzebują tego wszystkiego, co stanowi zewnętrzną oprawę eksportu, a co odgrywa olbrzymią rolę w handlu. Chodzi o opakowania, nalepki, wywieszki i inne ozdoby reklamowe itp. Centrale handlu za-

granicznego mają poważne trudności z zamawianiem tego typu akcesoriów. Sprawdza się to zresztą m. in. z Wrocławia, z Zakopanego i Poznania. Kilka spółdzielni w kraju rozumiało, gdzie leży ich „interes” i zaczęło się specjalizować właśnie w tego typu produkcji. Nie ma wśród nich spółdzielni w Łodzi i województwa łódzkiego, a przynajmniej nie ma w wystarczającej ilości. Tymczasem właśnie to tutaj — w pobliżu centrali handlu zagranicznego — powinno powstać szereg małych i średnich przedsiębiorstw, które specjalizowałyby się w obsłudze eksportu wyrobów przemysłu włókienniczego, w nadawaniu mu właściwej oprawy. To też są dewizy.

J. PAJCHEL — Przyczyna takiego stanu rzeczy leży po części w niechęci do eksportu pośredniego, co znów ma swoje źródło w jego ewidencjonowaniu. Wszędzie to przyjemniej pochwalic się eksportem bezpośrednim, który przynosi „czyste” dewizy.

Z. KARASIŃSKI — Eksport pośredni nie znalazł jeszcze prawa obywatelstwa w psychice niektórych wytwórców. Rzecz jest niezwykle prosta. Np. fabryka produkująca maszyny włókiennicze może sprzedać je „luzem” i może dostarczyć je zagranicznemu odbiorcy jako pełne wyposażenie fabryki za pośrednictwem Biura Projektowania i Komplektacji Dostaw CBT. W pierwszym przypadku fabryka realizuje plan eksportu, w drugim tylko pomniejsza go o maszyny dostarczone generalnemu dostawcy. Jest to właściwie operacja formalna, bo w istocie w jednym i drugim Bank Narodowy otrzymuje dewizy — rezultat taki sam, ale dla zakładu — tak się niektórym wydaje — w pierwszym przypadku splendor większy. Tymczasem przyszość należy do tych, którzy będą w stanie sprzedawać całe fabryki. I nasz przemysł już to robi.

J. SZCZECIŃSKI — Wracając do sprawy usług, jakie niezbędne są centralom handlu zagranicznego, a jakich mogłaby podjąć się spółdzielczość, trzeba powiedzieć kilka słów o reklamie. Tutaj niestety nie wszystko jest na najlepszym poziomie, w

najlepszym porządku. Po pierwsze — nie zawsze właściwie adresuje się reklamowe przedsięwzięcie, tzn. nie bierze się pod uwagę potrzeb i tradycji kraju, na obywateli na których ma ona oddziaływać. Po drugie — nie działa się w należytą operatywności. Wszystkie reklamowe przedsięwzięcia powinny iść przez „Agpol”, ale często to, co zamawia się w „Agpolu” wraca do Łodzi i tu jest realizowane. Czy zawsze musi być aż tak zawiła droga? Po trzecie — ciągle nie mamy dobrych opakowań, które nie tylko chroniąby towar, ale go również reklamowały. Stąd wołanie o ośrodek usług dla handlu zagranicznego nie może być wołaniem w próżnię.

„ODGŁOSY” — Usprawnienie działalności centrali handlu zagranicznego z jednej strony — i stopniowe rozwijanie współpracy z przemysłem z drugiej, wymagają odpowiednio przygotowanej kadry. Przemysł mówi wyraźnie — nie jesteśmy przygotowani do przejścia roli centrali handlu zagranicznego, gorzej — często zakłady produkcyjne mają kłopot z właściwą organizacją serwisu — nie dysponują odpowiednio przygotowaną grupą monterów, inżynierów i ekonomistów, którzy mogliby w każdej chwili wyjechać w handlowych interesach za granicę.

Również centrale handlu zagranicznego stoją przed koniecznością stopniowej wymiany ludzi. Jest to proces naturalny — na miejsce starych przychodzi młodzież. Tylko, czy jest ich pod dostatkiem na rynku pracy?

J. PAJCHEL — Dla tych, którzy już pracują jest jedno wyjście — nauka. Mają taką możliwość choćby w ramach działania Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Rzecz jednak w tym, że do pracy w handlu zagranicznym nie wystarczy tylko kwalifikacje, potrzebne jest też odpowiednie morale.

B. MUSZYCKI — Za kilka lat UE da specjalistów dla przedsiębiorstw i central handlu zagranicznego. Jest stawy napływ młodych ze szkół średnich i są to ludzie do-

brze przygotowani. Szkopuł w tym, że średnie szkolnictwo handlowe jest zbyt... sfeminizowane. To niesie z sobą pewne niebezpieczeństwo, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę niezbędność wyjazdów zagranicznych. Dla matki częste oddrywanie od małego dziecka czasami jest zupełnie niemożliwe.

Druga sprawa to praktyki. Wydaje się, że centrale handlu zagranicznego stać na ścisły kontakt z uczelniami. Stać je nawet na pomoc finansową, na ułatwienie odbywania praktyk w centralach, na zakup literatury i wyposażenia — np. do nauki obcych języków, a nawet na zagraniczne wyjazdy naukowców czy absolwentów — na zagraniczne praktyki.

Z. STARZENSKI — Istotnie są takie możliwości i takie potrzeby, jak również istnieje niezbędność wprowadzania mechanizacji pracy w centralach handlu zagranicznego.

„ODGŁOSY” — Wracamy do sprawy integracji działalności handlowej trzech central handlu zagranicznego obejmujących sprawy włókiennictwa. Jeśli już mechanizować, to zrodzi się pytanie, czy każda centrala osobno, czy ewentualnie tworzyć jeden ośrodek dla trzech central i w ten sposób dać podstawy integracji?

Wiele jest takich pytań i problemów. Wiele jest spraw, które dyskutowane i projektowane potwierdzi lub obali praktyka. W handlu zagranicznym nie można się jednak mylić, nie można zbyt długo eksperymentować, bo jest to ryzykowne, może przynieść poważne straty. Dlatego lepiej więcej i dokładniej dyskutować i stale doskonalić metody działania. Powszechnie zainteresowanie sprawami eksportu, poparte autorytetem zainteresowania partii sprawia, że do zagadnień tych będziemy powracali w dyskusjach i publikacjach.

Notował:

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

str. 5

Twarda ziemia

Jak patrzę na kolezaste druty i widzę betonowe słupy, to wracam myślami do listu mojej matki. Ostatni list i pierwszy list jaki otrzymałem zaczynał się od słów: „...Synu, ja mieszkam teraz za drutami. To jest taka siatka, takie ogrodzenie, gdzie jest tylko jedna brama. Synku, jak będę szła do ciebie, to będę musiała przejść przez tę bramę. Ta brama musi być otwarta. Nie wiem, kiedy otworzą bramę. Synku, jak tylko otworzą bramę, to przyjdę do ciebie. Ty bądź grzeczny. Pamiętaj nasz ogródek ogrodzony siatką, pamiętasz tę furtkę, jak chciałeś wejść do ogródka, to musiałam otworzyć furtkę, a ty szczęśliwy biegłeś po całym ogrodzie. Ale ja nie mogę otworzyć tej furtki, tej bramy. W naszej bramie płynie prąd. Taka świecąca żarówka, przy której czytałam ci książki. I nikt nie podchodzi do tej żarówki, a jeśli podjedzie, to umrze. Kiedy przyjdę do ciebie, to powiem ci w jakim byłam ogrodzie...”

Leniwe swoje ciało opierałem o betonowy słup, Rosi patrzyła w moje oczy. A noc spała jeszcze silniej druty, o które ja opierałem. Daleko gdzieś szczełkał pies. Klęski drzew ginęły w granatowym horyzoncie. Ziemia udeplana pod nogami tworzyła twarde gruntu.

„... synku pamiętaj, że ziemia może być twarda, stoimy tak po 10 godzin na apelu. Piłują nas psy. Złowrogo szczełkając. Jeśli upadną, zagryzie mnie pies...”

Rosi tuliła się do mnie. Szczypałem delikatnie swoimi wargami jej twarz. Muzyka rytmicznie grała i coraz wyżej i coraz wyższy był jej ton. Rosi deptała ziemię, której chciałbym być częścią. Widziałem tej nocy twarz. Nierealna, obumierająca, o chorych kształtach, wyniszczona wierzyła moja matka, że kiedyś otworzą jej bramę. Nie, to jest twarz Rosi. My jesteśmy swobodni. Ten betonowy słup jest mi potrzebny i nie jest mi straszny. Ja jestem bezpieczny. Rosi wypełnia moje ciało, wypełnia mnie. Pieniąca jej masa, jej żywioł, brzegi naszych ust piętrzą się po obu stronach. Siatka ucieka gdzieś w głąb. Zostaje mi tylko Rosi, tylko Rosi. Malutka figurka, będąca zgubą w burzliwym porwywie swojej natury. Jestem odczuł, pogrążony w sobie jak chłop co prowadził plug. To jest nasza noc. Daleko jarzą się gdzieś światła i sylwetki domów wyglądają jak nabrzmiałe żagle. Tak mija parę minut. Tak płyniemy bezpiecznie. Lecz wzrok odnajduje znów betonowy słup. Odnajduje siatkę. Ten kolezasty drut. I spada lkar. Ale ramiona Rosi, jak dwa motyle chronią moje szczęście.

Pójdę z tobą, otworzę ci furtkę, niech nasze podróże będą bez kresu. Patrz, Rosi, mija noc. I znów mija nasz odpoczynek. Został po nas ślad. Twarda ubita ziemia. Będę pamiętał, mam, że ziemię można ubić i jest twarda, tak twarda jak beton.

Metalowa figura

Nie krzyciecie już na mnie. Przecież wiecie, kto jestem. Jak się nazywałem? Dziadku, mój stary dziadku, nie zasypiaj. Tylko ty jeden nie krzyczysz na mnie. Nigdy mnie nie bijesz. Zawsze uśmiechasz się do mnie. Panowie, przestańcie krzyżeć. Wygascie ogień w piecu. Ogień usypia. Panowie, powiem wam prawdę. Było nas trzech. Dziadek, Rosi i ja, Rosi lubiła wieczory. Wieczorem, kiedy drzewa chyliły się pod naporem nocy i kurz opadał między domy, wieczorem, kiedy ziemia staje się martwa i na podwórkach nie bawią się dzieci, jest cisza. Wieczorem Rosi przywierała do ciała tak szczerze, jak wosk do kształtu formy. Usypiała tak przynalona. Nigdy nie była równie piękna, jak we śnie. Ciało jej wtedy spoczywało w miękkich, łagodnych liniach, nieoczekiwanych zgięciach. Twarz omglona, włosy rozrzucone. Zdawało się, że naśladowała pozę wymyśloną przez genialnego baletmistrza. Prawa noga, wysoko podciągnięta pod brodę, była zniechęconia jak tamiec u szczytu swego wdzięku. Panowie, tak bardzo chciałem uszanować jej harmonię. Ledwie uchylałem jednak kołdry i czułem ten zapach usypionej, wtedy wyciągałem rękę i lekko powolnym ruchem zgarniałem sen z jej biernego ciała.

Dziadku, mój dziadku, dlaczego trzymasz ciągle podniesioną rękę. Nie protestuj, Panowie, mówię wam prawdę. Dziadek był wtedy bardzo młody. Codziennie rano miał oczy pełne smu. Z ramion jego zwisał ubiór roboczy. Pewnego dnia, mój dziadek robotnik karczował w lesie drzewa. Zmęczony upadł. Strumienie potu płynęły z jego twarzy. Leżał na ziemi, nie czując własnego ciała. Śnił, że będzie miał piękny sad, a owocowe drzewa będą rodziły dorodne jabłka. Czuł w ustach smak dojrzałych owoców. Nie panowie, to ziemia dostawała się mu do ust. Nie wypływał pestek, a słony smak był dojrzały od spracowanych mięśni. Dziadek zbuntował się. Skoczył w dół rzeki i gasił pragnienie jej zimnym strumieniem. Wtedy ciężka łapa schwyłała go za kark. Zaczernił się z bólu, kiedy łapa uderzyła go zaciekle. W prawej kieszeni miał dziadek szczyryk. Namagał ręką jego ostrze i szybkim ruchem uderzył w łapę. Potem uciekł. Był ścigany i szczyryk jak zwierzę. Zranił strażnika. Dziadku, nie protestuj, nie krzyż, nie podnoś tej ręki.

To prawda panowie, że Rosi nie była już zdolna ułczyć podniecenia. Namietnie tuliła ciało. Naprężając mięśnie, zaczęła napinać się jak powróż. Głośno krzyknęła do mojego ucha. Ty jesteś podobny do dziadka. Zaczynała swój taniec, jak wąż przy dźwiękach fleu. Wprawiała się w stan transu i ekstazy. Otwarte jej usta coraz piskliwsze

wydobywały tony. Oddech był coraz szybszy. Czarodziejski flet grał przeraźliwie, jak syrena pociągu. Panowie, wyobraźcie sobie głowę i ciało naprężone, wygięte do tyłu. Był to atak wyprawy w chaotycznym orszaku. Był to taniec sarny, uwydatniający okrągłość futra i bioder.

Dziadku, nie podnoś ręki, ja wiem, jesteś dziś stary i łysy. Wymyśliłeś swoje miasto, swoje ulice, swój dom. Tylko więzienie przeszkodziło ci wybudować swoją chatę. Dlaczego wtedy uderzyłeś strażnika. Masz taką ciężką, spracowaną rękę i wiedziałeś, że ciężko zranisz. Pewnego dnia spowiewałem cię po ziemi. Krzyżeliś nad twoimi uszami, które układały się w duże czerwone koleczyki. Uczono cię sztuki chodzenia od nowa. Stawałeś pod ścianą. Podnosiłeś lewą i prawą nogę. Wyrzynałeś ku środkowi brzeg prawej stopy. Krok do przodu i padałeś na ziemię. Czy słyszysz w uszach ten śmiech, ten jazgot i ciężki but na twojej twarzy. Nie protestuj, nie podnoś ręki. Panowie, powiedziałam wam prawdę. Mój dziadek był robotnikiem. W lesie rąbał drzewo. Mój dziadek był w więzieniu.

To Rosi wykonała płątaninę ruchów. Za oknami był świt. Z wiatrem drobne ziarna piachu sypały w okno. Pot oblewał ciało. Mielki zwój wosków czułem na swoim policzku. Teraz w twarzy Rosi była pokora i wstyd. Czułem jej ramie oparte o swoje. Dziadku, opuść tę rękę. Wojna skończyła się dawno. Ty byłeś wolny. Temniły maszyny. Robotnicy drugiej zmiany weszli w huk wielkiego miasta. Tylko turkot twojej tokarni i zgrzyt ostrzy w twoim kuli fabrycznej był głośny. Praca była, przed świtem okrągły stalowy... był być dokładnie wypracowany. ...zwiała, ta ostatnia minuta, i można powiedzieć koniec. Ostatni oddech, ostatni strug i walec stożony chylił się ku ziemi. Pierwszy, ze szlachetnej stali, pięknie obrabiony, bardzo dokładnie twoją ręką dopracowany, stałowy walec. Dziadku, ciągle trzymasz zmęczoną rękę podniesioną do góry. Przed świtem, zmęczone ciało Rosi wtopiło się w postać kształtnego walec. Uplętnęło tyle godzin. Rozwiązano problem jednego życia. Panowie, dlaczego nie wygascie ognia w piecach. Ogień usypia mojego dziadka. Mój dziadek przy gorącym piecu usiadł z podniesioną ręką i tak pozostał. Panowie, było nas trzech. Dziadek, Rosi i ja. Rosi tak bardzo lubiła wieczory.

Z tomiku „Miniatury” przygotowywanego do druku.

Przypomnienie Łodzi

Na płaszczyznę nocy spada miasto,
Błyszczącymi osami gwiazd wdziera się
W neonowy krzyk reklam.
Miasto, myślę o tobie i chcę by poranek
Został mnie w twych ulicach,
A twój zachodni wiatr przypomniał mi
Melodie tysiąca lat, co znad brzegów Łódki
Ściekają nad Wisłę i dalej...
(...każdy twój kamień, miasto, ukrył w sobie
Skargę zakłęta pełną niepokoju:
— Człowieku! Czoło schył nade mną,
Ja krew pamiętam z ran moich włóknarzy...) I błogosławie cię, miasto poetów,
Bo ty podpowiadasz im nowe rytmy,
A na ruchomych witrażach dni
Ciągłe zapalasz słowa
Mądrzej polskiej mowy.

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI

RENATA MAKLAKIEWICZ

„Pytacie mnie”

Listek przeżywa dylemat
Bo żółtki
Wiosna pojęcia nie ma
Co ból
Zieleń nawet w złym humorze
Nie wygląda najgorzej
Zeschłe listki
Choć z sił wszystkich
Trzymają się drzew
Choć się śmieją do kuropatw
Choć się mienia gamą złota
Słabość je gnie...

Pytacie mnie — co się stało?
Odpowiem najprościej:
Moje życie — to złamana gałąź
Wiedomo — nie odróżnie
Pytacie mnie — co się stało?
Odpowiem, jak stary wróbel:
Życia mało, czasu mało
Nie umiera się na próbę!



JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Penelopa

Jak Odys idąc powrotem z daleka
spod wszystkich Troi i spod Cannos wszystkich
a jeszcze silny gdy wszystkie uściski
twoje jak kości pod suknią przenoszę
gorycz ust twoich sprzed lat i sprzed wieków
na wargach chociaż drewniane — unoszę
wszystkie kobiety jak wiosny pod zimę
nawet o litość przed śmiercią nie proszę
wszystkie pieczyoty może ciepłe jeszcze
może dopiero co od ciąż odjęte
wrócą jak ptaki w swoje kraje ciepłe
choć były kiedyś i wielkie i święte
ty między psem i sługą w ognia szepcze
między szpadką szczyrbioną i lemieszem.

Szansa odczytu w wielkim mieście

ROZMAWIAMY Z PROF. DR A. KŁOSKOWSKA

Kulturalno-oświatowa działalność Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Łodzi stale zwiększa zasięg. W ciągu minionych czterech lat liczba odczytów wzrosła z 1051 w roku 1964 do 1.709 w roku 1967. W tym samym okresie liczba słuchaczy podniosła się z 67.619 do 109.387. Odczyty TWP obejmują na terenie naszego miasta rocznie około 5 procent mieszkańców. A przecież wydawać by się mogło, że w wielkim mieście, przy stale rozszerzającym się zasięgu działania środków kultury masowej jak film, radio, telewizja, przy wielkim wyborze imprez i rozrywk kulturalnych, forma odczytu nie ma szansy rozwoju. Jak ocenia to zjawisko nauka, jak widzi miejsce i rolę tej formy działalności kulturalnej?

Na ten temat rozmawiamy z prof. dr ANTONINĄ KŁOSKOWSKĄ kierowniczką katedry Socjologii i Historii Myśli Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego, a jednocześnie członkinią Zarządu Łódzkiego TWP.

— Czy wobec postępującego stale rozwoju środków przekazu kultury masowej, wobec udoskonalania ich strony technicznej, zdaniem Pani Profesor instytucja odczytu, prelekcji staje się zagrożona?

— W ramach organizacji życia kulturalnego we współczesnym społeczeństwie wyróżnić można kilka układów określających całości kształt życia kulturalnego. Nawet w świetle współczesnej techniki warstwa kontaktów bezpośrednich, charakterystycznych dla kultury ludowej, nie traci istotnego znaczenia. W jej ramach wywarza się kultura: sztuki i wiedzę na drodze kontaktów osobistych, bez określonych ram organizacyjnych. Przecież i dziś rodzice opowiadają dzieciom bajki, swoje przeżycia z dawnych lat, wspomnienia i to zostawia niewątpliwie ślad w młodej psychice.

Ta forma przekazu, charakterystyczna dla typu kultury ludowej, stanowi jeden z elementów kultury współczesnej. Obok niego istnieją jeszcze przynajmniej dwa ważne układy organizacji życia kulturalnego, a różnice między nimi są charakterystyczne dla całości kształtu życia kulturalnego we współczesnym społeczeństwie.

Drugi układ polega również na bezpośrednim przekazywaniu treści kulturalnych, ale już nie w sposób spontaniczny, lecz w ramach skom-

plikowanej, zorganizowanej działalności. Do tej warstwy zalicza się działalność teatrów, wszelkiego rodzaju wystawy, koncerty itd. oraz własne prelekcje, wygłaszane przez prelegentów — działaczy, którzy pewne informacje i treści przekazują poprzez bezpośredni kontakt z odbiorcą. W ciągu wielu wieków taki typ działalności kulturalnej nie miał istotnej konkurencji, recepcja dóbr kulturalnych była bowiem ściśle związana z miejscem, w którym się imprezy odbywały.

Współczesna technika wniosła trzeci typ układu organizacji życia kulturalnego: masowe środki przekazywania, działające na wielkie odległości. Ten trzeci układ rozwija się najbardziej dynamicznie i odgrywa największą rolę względem zakresu oddziaływania. Wskazuje na to zestawienie danych o frekwencji na koncertach, w teatrach i muzeach z liczbami odnoszącymi się do masowych środków przekazu. W Łodzi na przykład, która jako duże miasto dostarcza mieszkańcom różnorodnych możliwości recepcji kulturalnej, roczna liczba odwiedzin teatrów w ostatnich latach wynosiła przeciętnie nieco ponad milion osób, zaś w muzeach — kilkadziesiąt tysięcy. Jednocześnie jeden odbiór radiowy przypada na czterech mieszkańców, to jest na każdą statystyczną rodzinę, zaś odbiór telewizyjny — na sześciu mieszkańców. Kontakt z radiem należy do codziennych doświadczeń ogółu mieszkańców miasta. Natomiast na przeciwnym skraju, z wyłączeniem małych dzieci i starców, przypada około dwóch odwiedzin teatrów rocznie.

— Jaki jest stosunek wzajemnego oddziaływania tych dwóch ostatnich układów?

— Z różnych obserwacji i badań wynika, że działania bezpośrednie, charakterystyczne dla drugiego u-

kładu, mimo mniejszego zasięgu, są ważne i niezastąpione, choć pod względem ilościowym nie konkurują z działaniem na odległość. Potencjalna publiczność jednego tylko odczytu radiowego sięga kilkuset tysięcy. Trudno określić ile osób faktycznie wysłuchuje w ciągu roku różnorodnych audycji radiowych i telewizyjnych o charakterze kulturalno-oświatowym. Jest to jednak liczba wielokrotnie przekraczająca liczbę słuchaczy w salach odczytowych wszystkich instytucji oświatowych miasta.

Jednakże ilościowemu zakresowi oddziaływania kultury masowej nie zawsze dorównuje intensywność i siła tych oddziaływań. Także w świecie współczesnej cywilizacji ludzie pozostają najbardziej wrażliwi na wpływ osób, z którymi stykają się w bezpośrednim kontakcie. Prelegent, który nie tylko jest słyszany i widziany przez audytorium, ale także sam widzi je i słyszy, lepiej może zdać sobie sprawę z możliwości odbioru, lepiej zakwalifikować słuchaczy i lepiej trafić do ich gustów i zainteresowań niż prelegent radiowy czy telewizyjny. Prelekcje bezpośrednie, lepiej mogą być dostosowane do potrzeb i możliwości mniejszych grup słuchaczy z góry znanych, dobranych według określonej zasady. Takich cech nie posiada wielka publiczność masowych środków komunikowania.

Wydaje się, że w tych właśnie cechach widzieć można istotny sens działalności kulturalno-oświatowej, podejmowanej nawet w tak dużym mieście jak Łódź, gdzie liczne nowe formy rozrywki niewątpliwie stwarzają konkurencję dla tradycyjnych form przekazu kulturalnego, nie mogą ich jednak całkowicie zastąpić i nie mogą ich wyeliminować.

— Czy zdaniem Pani Profesor w tych warunkach prelegent wielkomiejski powinien odznaczać się jakimiś cechami specyficznymi?

— Powinien być do odczytu starannie przygotowany, co nie znaczy wcale, że prelegent wiejski nie potrzebuje się starannie przygotowywać. Chodzi jednak o to, że publiczność wielkomiejska ma większe możliwości w doborze i rozrywki, w małym ośrodku prelegent bywa jedyną atrakcją. Dobrze jest, kiedy prelegent reprezentuje nie tylko przelotną wiedzę, ale sam jest interesującą osobowością i indywidualnością, dobrze, kiedy pochodzi ze środowiska do którego słuchacz nie ma bezpośredniego dostępu. To zwiększa atrakcyjność prelegenta. Publiczność lubi kontakty z ludźmi, nie spotykanyymi na co dzień.

— A właściwie co lubi publiczność?

— Trudno powiedzieć jednoznacznie, bo publiczność ta jest bardzo zróżnicowana. I środowiskowo i terytorialnie. Stałymi słuchaczami są głównie ludzie starsi i młodzież. Ta ostatnia traktuje odczyty jako uzupełnienie nauki. Myślę, że w naszym, posiadającym już pewne tradycje, układzie te określone grupy słuchaczy przyciąga nie temat odczytu lecz instytucja, która go organizuje. Natomiast grupa ludzi „wieku średniego”, najaktywniejsza społecznie, mająca największe znaczenie w życiu kraju, ma najmniej czasu na korzystanie z prelekcji. Żeby jej to umożliwić, trzeba wyjść do miejsc zamieszkania, do nowych bloków i osiedli, na peryferia miasta, które w porównaniu z centrum, cierpią na niedostatek atrakcji kulturalnych i stanowią wdziesiętnego odbiorcę imprez kulturalnych.

— Dziękujemy Pani Profesor za interesującą rozmowę.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

JAN KOPROWSKI

Podwójne narodziny

CHARLIE CHAPLINA

Jako człowiek Charlie Chaplin przyszedł na świat 16 kwietnia 1889 roku w Londynie. Zarówno jego ojciec, który opuścił rodzinę, gdy Charlie miał trzy lata, jak i matka, która popadła w chorobę umysłową i umarła w szpitalu, byli aktorami i zapewne po nich Charlie i jego brat Sydney odziedziczyli talent aktorski. Natomiast jako artysta: mały człowieczek w meloniku, z wąsikami i z laską, w o wiele za dużych butach, poruszający się jak kaczka, Charlie Chaplin narodził się dokładnie 28 lutego 1914 roku, kiedy przygotowywał się do jakiejś epizodycznej roli, w poszukiwaniu gagów stworzył postać, która fascynowała i fascynuje do

dzisiaj miliony widzów na całym świecie.

O Charlie Chaplinie napisało wiele książek, znamy nie mało szczegółów z jego życia, znamy etapy jego kariery filmowej, nie do tyłu jednak, by nie zainteresować się jego własnymi wspomnieniami. Gdy przed czterema laty (1964) ukazała się, najpierw w Londynie, a później w innych krajach, „Moja autobiografia” Chaplina, rychno znalazła się ona na czele listy bestsellerów. Czytelnicy rzucili się na te wspomnienia z łapczywością w nadziei, że zdołają one zaspokoić ich nieposkromioną ciekawość.

I oto obecnie „Moja autobiografia” Charlie Chaplina wydana została również po

polsku w przekładzie zasłużonego tłumacza literatury amerykańskiej, Bronisława Zielińskiego. Te obfite, ponad pięćset stron druku licząca książka, przeczytałem... Nie, nie powiem, że jednym tchem i z gorączkowym zaangażowaniem. Wspomnienia tego genialnego aktora filmowego czyta się raczej długo i z trudem, choć napisane są językiem łatwym i prostym. Dla czego? O tym później. Na razie stwierdzmy, że Chaplin w „Mojej autobiografii” opisał swoje życie od momentu pierwszych zapamiętanych wspomnień z dzieciństwa aż do jego osiedlenia się na stałe w Szwajcarii, w pobliżu Vevey, gdzie zmarł Henryk Sienkiewicz. Dowiadujemy się, że dzieciństwo jego nie było szczęśliwe, bowiem nie znalazł w domu ciepła rodzinnego. Wychowany w niedostatku a nawet w biedzie poznał wczesnie wszystkie udręki życia. Mimo to ani on, ani jego brat Sydney, nie stoczyli się na dno upadku, lecz z podziwu godnym uporem, idąc o własnych siłach, potrafili dobić się pozycji i znaczenia, a

Charlie — wielkiej i oszałamiającej sławy. W pierwszej części książki nie bez wzruszenia czyta się o odwiedzinach chorej matki w szpitalu i o miłości, jaką otaczali ją obaj synowie. Trzy czwarte wspomnień, jeśli nie więcej, poświęca Chaplin (i słusznie) opisowi pracy w filmie. Możemy prześledzić kolejno jak powstawały głośno do dziś filmy

„Erznie”, „Gorączka złota”, „Światła wielkiego miasta”, „Monsieur Verdoux”, „Dyktator”, „Dzisiejsze czasy” i wiele innych. Poznajemy dziesiątki aktorów, pisarzy i polityków, z którymi Chaplin spotykał się często lub tylko sporadycznie, a więc Caruso, Bernarda Shaw, Churchilla, Gertrude Stein, Igora Strawińskiego, Einsteina, Somerset Maughama, Gandhiego, Franka Harrisa, H. G. Wellsa a z polskich artystów — Polę Negri czyli Apolonie Chałupiec i Ignacego Paderewskiego. Zresztą zarówno o Polę Negri jak i, zwłaszcza, o Paderewskim pisze Chaplin z przekonaniem, widać, że nie otaczał ich nadmiarem miłości.

W powodzi opisywanych epizodów, spotkań z ludźmi, rozmów (często białych), trafił się nagłe coś, co zatrzymało na chwilę uwagę, oślni lub zmusi do refleksji jak na przykład wtedy, gdy Chaplin opowiada o siedmiolatnim chłopcu, który potrafił jednocześnie rozgrywać dwadzieścia partii szachowych.

Na ogół jednak cała książka ma charakter epizodyczny, składankowy. Przechodzimy od wydarzenia do wydarzenia, od spotkania do spotkania szybko, nie zatrzymując się i nie zastanawiając zbyt długo. Charlie Chaplin wyraża nie się śpieszy, nie pozwala rozmawiać się w tym, co pisze, gromadzi fakty, spiętrza perypetie, aby rychło je porzucić i pójść dalej. Wsku-

tek tego wiele fragmentów napisanych zostało powierzchownie, bez należytego naświetlenia. Człowiek, który filmami swoimi rozśmiesza i wzrusza do łez, w książce okazał się mało dowcipny i bynajmniej nie głęboki. Czytelnik, chcący dowiedzieć się, jakie były poglądy Chaplina na sztukę, jaką była jego filozofia, poczuje się, mam o bawę, rozczarowany. Nie dla tego, że ich w książce nie znajdzie, Owszem, znajdzie, ale wydadzą się one dziwnie ubogie w porównaniu do bogactwa jakim obdarował on swoje filmy. Na stronie 282 autor pisze: „Dramaturg Marc Connelly zadał kiedyś pytanie, jakie powinno być podejście autora piszącego dla teatru: intelektualne czy emocjonalne? Ja uważam, że przede wszystkim emocjonalne, ponieważ jest to bardziej interesujące w teatrze niż w teatrze: teatr jest do tego przeznaczony — jego widownia, proscenium, czerwone kotary, cała architektoniczna ozdoba adresowane są do uczucia. Naturalnie intelekt ma w tym swój udział, ale jest drugorzędny. Wiedział o tym Cze gorow, a tak samo Molnar i wielu innych autorów. Rozumieli również doniosłość teatralizacji, która jest podstawową sztuką dramatopisarstwa”.

Są to w zasadzie poglądy słuszne, ale brzmią dziwnie staroświecko, wyłożone mało ciekawie, żeby nie powiedzieć — infantylnie. Sztuka Chapli-

na jest o niebo wyższa od jego poglądów i jego filozofii. Sprawdzi się znana prawda, że nawet wybitny artysta zawodzi często jako myśliciel.

Wszelako popełniliśmy grubą błąd, gdybym powiedział, że przeczytanie „Mojej autobiografii” równa się stracie czasu. Jest to, mimo wszystko, lektura zajmująca. Wprowadza ona w życie, które było wielką przygodą i ułożyło się w barwny film. Zabrakło w nim co prawda (jak na autobiografię przystało) wznaję intymnych, Chaplin niechętnie i z dużą powściągliwością pisze a raczej wspomina o swoich kolejnych małżeństwach, uważając je za nieudane. Nawet o udanym małżeństwie z obecną swoją żoną, Ooną O'Neill (córka znanego dramaturga amerykańskiego), opowiada w sposób bardzo skąpy. Ma to jednak i pewne zalety. Ustrzeżenie autora przed zbędnym ekshibicjonizmem, o co tak łatwo we wspomnieniach artystów filmowych i teatralnych. Książkę Chaplina przydadzą uroku liczne fotografie, przedstawiające kolejne fazy jego życia, role filmowe, przyjaciół i znajomych. Przekład Bronisława Zielińskiego czyta się bez oporów.

Charles Chaplin: „Moja autobiografia”, tłumaczył Bronisław Zieliński, Czytelnik 1968, Warszawa, str. 562, cena: zł 50.—

MONIKA BOGUCKA

„Nie tylko w deszcz”

Pozwolą Państwo, że zacznę od truizmów. Chcę bowiem stwierdzić, że rola recenzenta jest czasem przykra, szczególnie, kiedy trzeba omówić debiut. Na recenzję czeka wtedy autor, który przeżywa całą gamę sprzecznych uczuć — wydał na pastwę obcych ludzi coś bardzo intymnego, swoje utwory, z którymi spędził niejedną chwilę, więc jakąś częst-

kę siebie. Czytelnik na nią nie czeka, czytelnik nie wie, że ktoś tam debiutuje i właśnie recenzent spełnia w tym wypadku rolę jedyne go informatora. I przykro jest recenzentowi, jeżeli informując Czytelnika o nowej książce i nowym autorze, musi ich rozczarować.

Mam właśnie przed sobą nie wielki, zawierający tylko 6 opowiadań, tomik prozy Mirosława Mieszcankowskiego pod ładnym tytułem „Nie tylko w deszcz” i zanim zacznę o nim mówić, jeszcze krótkutkie wyjaśnienie. M. Mieszcankowski nie jest właściwie debiutem; ze skrzydełka obwołany dowiadujemy się, że drukował swoje utwory w Almanachu Literackim „Młoda Wieś” w r. 1961 i już wtedy był to właściwy debiut, potem swoje opowiadania i reportaże publikował w Almanachu

„Wiadukt”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Odgłosach”, „Chłopskiej Drodze”, „Zarzewiu”, „Głosie Młodzieży Wiejskiej”, Polskim Radiu i pismach codziennych. Jest to więc nie tyle debiut autorski, ile debiut książkowy.

Zebrałem opowiadania przynoszą różnorodną tematykę. Znajdziemy tutaj bolesne wspomnienia z okresu wojny, portrety młodych obywateli reprezentujących różnorodność krańcowe postawy ideologiczne, próbę pokazania człowieka sfrustrowanego, uciekającego przed cywilizacją i sobą samym, wreszcie perypetie małego czystobuta oszukanego przez cynicznych urzędników aparatu rządzącego w kapitalistycznym mieście nad Oceanem. Spróbujmy sobie wobec tego odpowiedzieć, dlaczego opowiadania Mieszcankowskiego nie robią większe-

go wrażenia? Oto „Instrukcja” — opowiadanie żołnierza; który w czasie wojny musiał zablić bliskiego sobie człowieka. Odpowiedzialność za zabicie innego człowieka, to ostry problem, często dyskutowany i nie raz przedstawiany przez twórców. W tym wypadku jednak forma nie udźwignęła treści; monolog bohatera jest rozwodniony zbytnim gadulstwem. Należało tu może milczącemu lekarzowi również pozwolić mówić. Może dialog, oczyszczony już ze zbędnej rezytki pytań i odpowiedzi, wypowiadanych przez jedną osobę, przedstawiliby problem z niezbędną tutaj dawką emocji i napięcia. Zastrzeżenia budzi także pierwsze opowiadanie „Dwóch albo troje”. Dramatyczne przeżycia bohatera znów podane są w formie monologu, tym razem słuchaczem jest... pistolet. Opowiadanie jest psychologicznie nie-

zasadnione; trudno wyobrazić sobie, żeby człowiek, który ma za chwilę popełnić samobójstwo, decydował się na długą tyradę do pistoletu.

Tytułowe opowiadanie „Nie tylko w deszcz” przynosi próbę pokazania psychiki współczesnego człowieka. Nie będę tu polemizować z autorem, iż w naszych warunkach żaden przełożony nie uwierzy na słowo honoru, że lekarz zalecił nam wyjazd i na ten wyjazd zezwoli. Może raczej krótkutki fragment: „Woda ma odcień szafirowy, ale przy brzegu jest muł i płaczą się wodorosty. Więc jak z szafirow skorzystać? Trzeba w najlepszym razie zdjąć buty. Zaczynamy rozumieć, że czegoś tu nie pojmujemy, że nasze pantofle z dziurkami, przez które sypie się teraz piasek, są właśnie zaprzeczeniem czegoś... Czego?”

Nie przeszkadzają mi wodo-

rości przy brzegu, jeśli chcę patrzeć na szafir wody, nigdy nie zastanawiam się, czego zaprzeczeniem jest sypiący się przez dziurki w butach piasek. I wydaje się, że najszlachetniej ujął to sam autor, który w tymże opowiadaniu stwierdza: „Dość poezji i pseudofilozofii”. Właśnie. Każdy ma swoją własną pseudofilozofię, ale czy koniecznie trzeba dzielić się nią z czytelnikami?

Na zakończenie chcę zwrócić uwagę na niezwykle staranne i estetyczne wydanie tomiku „Nie tylko w deszcz”. Słuszną wydaje się myśl ilustrowania książek młodych pisarzy dobrymi obrazami młodych plastyków. Reprezentuje ich w tym wydaniu pani Maria Cieślak.

Mirosław Mieszcankowski — „Nie tylko w deszcz”, Wydawnictwo Łódzkie — Łódź 1967 — str. 43, cena 10 zł.

Głos w dyskusji

Przez długi okres czasu na łamach prasy specjalistycznej („Ekran”) i kulturalno-społecznej („Kultura”) toczyła się nader ożywiona dyskusja wokół pewnych problemów naszej kinematografii. Rzecz szła między innymi o znalezienie istotnych przyczyn obserwowanego ostatnimi czasy kryzysu polskiej twórczości spod znaku X Muzy. Czy tkwią one w sferze zjawisk ideologicznych, intelektualnych czy też w niedowładzie i anachroniczności form ekspresji artystycznej? Sądzę, że w żadnym wypadku spraw tych nie należy rozdzielać. Słabość naszego kina, to słabość treści i formy, słabość ideowo-intelektualna i artystyczna.

Kinematografia nie istnieje jednak w próżni. Historia sztuki filmowej dowodzi, że narodzinom wartościowych nurtów, szkół i indywidualności twórczych sprzyjał stan fermentu ideowego i intelektualnego, atmosfera „burzy i naporu”, zacieklejczych sporów i pełnego pasji zaangażowania. Przypomnę chociażby zło ty wiek filmu radzieckiego, neorealizm włoski, angielskie free cinema czy też słynną już dziś szkołę czeską.

Horyzonty myślowe naszego filmowego światka są nader ograniczone. Nikt o nie specjalnie nie walczy. Królują kompromisy i eklektyzm. Do wyjątków należą realizatorzy tak bezkompromisowo broniący własnego sposobu widzenia jak choćby Henryk Kluba czy też Kazimierz Karabasz, którzy ponadto jak z tego wynika, takowy sposób posiadają. Tu jest jeszcze takich, jak Kluba czy też Karabasz. Boję się, że niestety, niewiele.

Czy można robić filmy nie mając nic do powiedzenia? Można — robi się wówczas mniej lub bardziej udane adaptacje dzieł literackich. Nasi filmowcy tym się głównie parają, nie oszczędzając wstydu najtańszemu piórom. Dobrze, że mamy jeszcze w zapasie trochę arcydzieł narodowych. Ale gdy zapas ten się wyczerpie kino nasze znajdzie się w całkowiym impasie. Współczesna polska literatura nie jest bowiem, niestety życiodajnym źródłem bestsellerów. Raczej wprost przeciwnie. Czasem można zrealizować film o tym, że się nie ma nic do powiedzenia. Ale na to trzeba być tej miary geniuszem co Fellini. Powiedział on kiedyś, że reżyser, który narzeka na brak scenariusza nigdy nie nakręci dobrego filmu. Nasi reżyserzy nieustannie uskarżają się na brak scenariuszy. Smutne to ale prawdziwe. O poziomie intelektualnym i „bogactwie” świata ich wewnętrznych przeżyć świadczy także rozmaite wypowiedzi i wywiady publikowane na łamach prasy. Niedowład myślowy stanowi podstawowa i zasadnicza słabość polskich filmów i ciągnie za sobą daleko idące konsekwencje.

Czy należy na nasz grunt przynieść mechanicznie mode le nowofalowego kina? Oczywiście, że nie. Na całym świecie trwa dziś spór o istocie i formę nowego kina, o granice współzależności między ideologią a estetyką. Nie ulega jednak wątpliwości, że nowe treści dyktują nowe formy. To przecież truizm. Doskonałość artystyczna filmów Antonioniego i Bergmana stanowi rezultat absolutnej adekwatności form wobec wprowadzanych treści. Forma stała się sposobem widzenia złożonych zja-

wisk współczesnego świata. W „powiększeniu” Antonioniego czy też w „Milczeniu” Bergmana struktura dzieła filmowego jest zwierciadłem struktury rzeczywistości widzianej oczyma artysty. Na współzależność między nowymi środkami formalnymi, nowymi środkami przedstawiania, stosowanymi przez sztukę współczesną a wizją dzisiejszego świata zwrócił już uwagę Arnold Hauser w swojej „Społecznej historii sztuki”. Hauser podkreśla też fakt, iż oderwane od swego treściowego i ideologicznego podłoża nowe środki formalne tracą swój sens i funkcjonalność, stając się zabiegiem czysto formalistycznym. Tak właśnie dzieje się w przypadku mechanicznego adaptowania nowych modeli formalnych do tradycyjnego, schematycznego, nie odpowiadającego faktycznemu stanowi — widzenia rzeczywistości. Takie właśnie niefortunne przykłady znaleźć można niestety w dorobku naszej kinematografii. Stanowią one smutny rezultat ubóstwa myślowego, braku własnych doświadczeń, własnej postawy ideologicznej, intelektualnej i artystycznej, braku zaangażowania w autentyczną problematykę złożonych i trudnych zjawisk współczesności.

Inaczej stało się natomiast w kinematografii czechosłowackiej. Przeszczepione na tamtejszy grunt, nasyczone dojrzałością ideową i intelektualną, wsparte kapitałami tradycji teatru i literatury narodowej, doświadczenia europejskiej nowej fali wspaniale zaowocowały. Nasi południowi sąsiedzi posunęli sprawę nowego kina o krok naprzód, wzbogacając ją własną, narodową prawdą. Myślę, że warto by tę naukę wykorzystać. Nowoczesny model formalny musi znaleźć podłoże i oparcie w naszej, aktualnej rzeczywistości, a także w naszej tradycji kulturalnej, potraktowanej jednak nie w sposób powierzchowny i schematyczny. Tylko znalezienie własnej, autentycznej drogi, może ocalić polskie kino. Wydaje mi się, że warto by we wspomnianej na wstępie dyskusji głos zabrali także i sami realizatorzy. Rzecz krytyka jest zapalać iskry. Ale po to, by z iskier tych rozgorzał płomień, potrzebny jest też czynny udział tych najbardziej zainteresowanych, czyli twórców.

OBIEKTYW

Na tropach widowiska TV

Trudno wyzbyć się wrażenia, że w zakresie widowiska telewizyjnego, czy jak niektórzy wolą, z angielska: show, istnieją jeszcze znaczne nie wykorzystane możliwości. Nie chodzi mi o truistyczne i ogólnikowe stwierdzenie, ale o sprawy konkretne.

Telewizja, stawiając pierwsze kroki, nawiązywała przede wszystkim do doświadczeń innych gałęzi sztuki. Jak dziecko, które zaczyna działanie od naśladowania dorosłych. W ten sposób wykształcił się teatr TV, stanowiący przede wszystkim analogię telewizyjną teatru w ogóle. Programy rozrywkowe wzorowały się na formach widowiskowych ukształtowanych w kabaretach, na estradach i w teatrzykach bulwarowych. Telewizyjne programy publicystyczne przenosiły na mały ekran pewne doświadczenia filmu dokumentalnego, kroniki filmowej, radia i prasy codziennej.

Już z tych przykładów wynika, że w początkowej fazie istnienia telewizja była tylko formą technicznego przekazu dla teatru, filmu, rozrywki, publicystyki, informacji itp., czyli dla swobodnego zlepek różnych konwencji. Specyfiką języka telewizyjnego (jeśli tak — per analogiam do języka filmowego — można powiedzieć) odkrywaną stopniowo wewnątrz zaopieczonych form, lub na ich styku.

Ta specyfika rodziła się z poznawania odmiennej percepcji programów telewizyjnych, ze szczególnego nastroju, jaki do każdego mieszkania wnosi telewizor. Okazało się przy tym, że mały ekran wytrzymuje pewne formy widowiskowe, które oglądane w sali teatralnej, czy na ekranie normalnego kina łatwo stałyby się nieznośne. M. in. stwierdzono, że rozmowa

dwóch osób, w której nie się nie dzieje, a kamera przenosi się z twarzy na twarz, może na ekranie telewizora stać się pasjonującym widowiskiem, pod warunkiem, że chodzi o dwóch dobrych aktorów i o interesujący tekst. Zbudowany na tej samej zasadzie film nie spotkałby się z zyczyliwym przyjęciem w kinie.

Posuwając się dalej po tej linii twórcy telewizyjni dopracowują się form widowisk typowych tylko dla małego ekranu, noszących jeszcze ślady dawnych wzorów, ale przemleszane dokładnie, tworzące jak gdyby nową jakość artystyczną.

Zatrzymam się na dwóch przykładach z ostatnich dni. W pierwszym dniu Wielkiejnocy Irena Dziedzic obdarzyła nas w ramach „Tele-Echa” widowiskiem telewizyjnym pt. „W kellingowym dworku”. W słowie „obdarzyła” proszę nie dopatrywać się u mnie żadnego przekazu, bowiem uważam program ten za ze wszelkich miar udany.

Postaramy się jednak go przeanalizować. Jakich form użyła znana prezenterka do tego świątecznego mazurka, czy przekładanka? Były tam z pewnością elementy teatralne. Aktorzy Lomnicki, Magda Zawadzka, Olbrychski, Pawlikowski i inni występowali w kostiumach, jakie noszą odtwarzane przez nich w filmie „Pan Wołodyjowski” postacie. Co więcej zachowywali się jak te postacie i przemawiali kawałkami sienkiewiczowskiego języka.

Jednocześnie pomiedzy tymi dziwnymi figurami, które spływały jakby wprost z kart „Trylogii”, pojawiała się współczesna kobieta, w ubiorze lekko stylizowanym, ale taka teraz moda! Język jakim posługiwała się przy tym I. Dziedzic, był językiem dzisiejszego dziennikarskiego wywiadu, a wtręty sienkiewiczowskie, czy w ogóle archaizowane, służyły jedynie do nawiązania żartobliwego kontaktu z aktorami.

A więc przemieszanie formy dziennikarskiej z teatralną i filmową, zmiksowanie zawodowego aktorstwa z amatorskim reprezentowanym w sensie scenicznym przez prezenterkę. A wszystko na tle kellingowego dworku, niby na tle muzealnego zabytku, tyle tu dla celów filmu nagromadzono różnego autoremantu stylowych mebli i tekwizytów.

Czy przesadą będzie twierdzenie, że mieszanka firmowa, którą omówiłem, jest typowym

tworem telewizyjnym? Czy moglibyśmy oglądać taki twór w teatrze albo w kinie? Raczej nie. A w telewizji mieścił się on znakomicie, jest może skromnym jescze, ale niewątpliwym dokumentem rodzenia się widowisk typowych dla tej formy masowego przekazu.

Można do tej samej kategorii zaliczyć show Wojciecha Młynarskiego pt. „Dziewczyno, bądźcie dla nas dobre na wiosnę”, nadany w drugie święto. Z tym, że w sensie muzycznym, tekstowym i częściowo wykonawczym, nie był to program udany. Zawiodł zwłaszcza sam Młynarski, który z miernym powodzeniem nawiązał do świetnej tradycji Przybory i Wasowskiego.

Ale nie o to mi w tej chwili chodzi! Chcę zwrócić uwagę, że i w tym programie mamy do czynienia z przekładacem. Mieszając tu piosenkarski program estradowy ze światem teatralnej fikcji, zawodowa perfekcja Michnikowskiego z amatorsztwem Młynarskiego i Godlewskiej. Myślę, że i tutaj, niezależnie od zanizonego poziomu artystycznego programu, mamy do czynienia z widowiskiem charakterystycznym jedynie dla telewizji, z produktem powstałym na gruncie poszukiwań własnych telewizji.

Dlatego właśnie uważam, że poszukiwania za formą widowiska telewizyjnego są wciąż w toku i w tej dziedzinie z pewnością nie powiedziano jeszcze ostatnich słów. Obok tych poszukiwań mamy do czynienia z programami artystycznymi, w których telewizja traktuje się nadal wyłącznie jako środek przekazu. Dotyczy to takich widowisk jak chociażby „Pan Geldhab”. Tak to w jednym z swolim rodzaju symbolizuje pojawiają się obok siebie w programie pozycje typowo telewizyjne i zapożyczenia z innych gałęzi sztuki.

Władysław Ornowy

KSIĄŻKI NADESLANE

- Michał Kaziów — „Postać niewidomego w oczach poetów”, Ossolineum, zł 15.—
- Witold Juliusz Kapuściński — „Słupy Herkulesa”, Ossolineum, cena zł 35.—
- Witold Dynowski — „Współczesna Mongolia”, Ossolineum, cena zł 50.—
- Barbara Jaroszewicz-Klein-dienst — „W kręgu polonofilskiej działalności Edwarda Jelinka”, Ossolineum, cena zł 32.—
- Kazimierz Tetmajer — „Poezje wybrane”, Ossolineum, cena zł 26.—

„A może byśmy tak do KINA”

■ Czytelnikom pragnącym poszerzyć swe horyzonty myślowe polecamy włoski pełnometrażowy film dokumentalny „BITWA O ALGIER” w reżyserii Gillo Pontecorvo („Kapo”). Świetna realizacja, obiektywność i rzetelność są najistotniejszymi walorami tego interesującego z wielu względów dzieła.



■ Każdy kraj próbuje znaleźć własną drogę do westernu, bez większego zreszta, jak dotąd, powodzenia. Otóż mamy i nową polską próbkę tego rodzaju intencji — film Aleksandra Seibor-Rylskiego: „WILCZE ECHA”.



„Wilcze echa”

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	spektakl	widzów	proc.
„Zemsta nietoperza”	1	1276	100
„Halka”	2	2552	100
„Książ Igor”	1	1276	100
POWSZECHNY			
„Tango”	1	660	100
„Radziwiłł, Panie Kochanku”	1	600	90
NOWY			
„Damy i huzary”	2	1400	100
MAŁA SALA			
„Skiz”	2	300	75
JARACZA			
„Ogniem i mieczem”	1	580	92
7.15			
„O krasnoludkach i sierotce Marysi”	1	820	97
OPERETKA			
„Dziękuję ci, Ewo”	6	6427	99
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ			
„Aszantka”	2	529	93
„Pan Pumpula i jego sługa Matti”	3	940	100
FILHARMONIA			
koncert kameralny	1	290	70

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Alain Robbe-Grillet



„CZŁOWIEK, KTORY KLAMIE”

„Człowiek, który kłamie” to mój trzeci, najlepszy film, całkowicie udany. To prawdziwy arcydzieło — twierdzi Alain Robbe-Grillet, autor dziesięciu powieści, twórca trzech filmów (najpierw napisał scenariusz dla Alaina Renauda do filmu „Zesłęgo roku w Marienbadzie”, następnie zrealizował dwa własne filmy: „Niemiertelna” i „Trans-Europa-Express”). Ostatni film tego „papieża nowej powieści francuskiej”, jak go niektórzy krytycy nazywają, wzbudził dość szerokie zainteresowanie paryskich recenzentów.

Ktokolwiek zna powieści Robbe-Grilleta, a w tłumaczeniu na język polski ukazały się „Gumy” i niedawno „Dom schadzek”, wie jak trudno jest streszczyć jego dzieła i że dwie sprawy interesują ponad wszystko autora: pamięć ludzka i jej stosunek do czasu, który nie podlega normalnemu rytmowi biegu zegarka i ucieka — kalendarz. W ostatnim filmie Robbe-Grilleta mamy problem pamięci i zapomnienia, prawdy i kłamstwa, przepięknie

się spraw realnych, obrazów i osób z elementami wyimaginowanymi. W skrócie treść filmu wygląda dość nieskomplikowanie. Do nieokreślonego bliżej miasteczka, jakie przeżyło okrutny wstrząs wojenny, przybywa po dwudziestu latach pewien człowiek. W gospodzie, włączając się do rozmowy przypadkowo spotkanych ludzi, dowiaduje się o zaginięciu na wojnie mieszkańca miasteczka, niejakiego Jeana Robina. I oto, nieznamy nikomu przybysz wnika powoli w świat, w którym żył ów Robin. Nawiazuje znajomość z jego żoną, siostrą, ojcem, służącą i służącym. Dzięki swym watorom, erudycji i wyobraźni zdobywa zaufanie tych ludzi, podając się za przyjaciela zaginionego Jeana Robina. Zamieszkuje wkrótce w domu jego rodziny, staje się wreszcie kochankiem jego siostry. Kim jest nieznamy przybysz? Nie wiadomo. On sam zdaje się, nie odróżnia prawdy od fikcji w swoim życiu. Historia jego losu pełna jest luk, niekonsekwencji, nie domowień. Trzy kobiety, a są to kobiety piękne, ulegają jego czarowi osobistemu i rywalizują ze sobą o względy przy-

nan Doyle pisze do matki, że chce już zabić Holmesa, aby się go narazicie pozbyć, gdyż przeszkadza mu ona w pracy nad lepszymi utworami. Ale matka nie zgodziła się na uśmiercenie Holmesa podając synowi pomysł do nowego opowiadania ze słynnym detektywem. Późniejsza próba Conan Doyle'a skończona serią powieści o Holmesie również spotkała się z niepowodzeniem. Gdy Sherlock Holmes zdawałoby się definitywnie już zginął, Conan Doyle otrzymał list od pewnego wydawcy amerykańskiego: „Jeśli pan potrafi znów pokazać swego bohatera znajdując ku temu jakieś wyjaśnienie, zaofiarujemy panu 5.000 dolarów za opowiadanie”. Wyjaśnienie się znalazło, a Sherlock Holmes znów pojawił się na kartach książki. W roku 1916 pisarz podejmuje ostateczną decyzję skończenia z Holmesem. Ale wiadać, że już uwolnić się od niego nie może, bowiem w dziesięć lat potem słynny detektyw po wraca znowu w powieściach Conan Doyle'a. Przy czytaniu jednej z drugą powieści defektywnych Conan Doyle'a dostrzec można, że autor powtarza często sam siebie, ale niewątpliwie jego inwencja, humor, jego zrzeczność w stwarzaniu sensacyjnej intrygi, nastroju tajemniczości są doskonałe. Ja fiko ciekawostkę można jeszcze dodać, że Conan Doyle żywo interesował się wysiściami samochodowymi i wraz z żoną brał osobisty udział w rajdzie automobilowym na 320 kilometrów. Był również jednym z pionierów rozwijającego się dopiero wówczas sportu magicianskiego.

CONAN DOYLE A TUNEL POD KANAŁEM LA MANCHE

„Istnieje konieczność zbudowania natychmiast jednego z dwóch tuneli pod kanałem La Manche” — na poparcie tego twierdzenia sir Arthur Conan Doyle, słynny autor powieści detektywistycznych, wysuwał szereg racji natury strategicznej i ekonomicznej w swojej rozprawie pt. „Niebezpieczeństwo”. Pisał ją w roku 1913, a można ją odnaleźć w 17 tomie dzieł zebranych jakie ukazały się we Francji. Tomów tych jest 20, przy czym, powieści, których bohaterem jest słynny detektyw Sherlock Holmes zawierał się jedynie w sześciu tomach. Reszta tomów, to powieści historyczne, opowiadania o przygodach, wspomnienia, rozprawy jakie pisał Conan Doyle interesując się w późniejszych latach swego życia mistycyzmem i spirytyzmem.

JOZEFINA BAKER ZNOW NA ESTRADZIE

Zegnanie się z estradą Józefiny Baker stało się już we Francji niemal przysłowiowe. Ta ciemna skóra tancerka i śpiewaczka, królowa music-hallów lat dwudziestych, która dziś liczy sobie lat ponad sześćdziesiąt, kilkakrotnie już i za każdym razem na zawsze, zegnana się z publicznością, po to by w kilka lat później znowu pojawić się na estradzie. W roku 1956 ze łzami w oczach odbywała w paryskiej „Olympii” swój ostatni występ i w tejże „Olympii” w roku 1964 zegnana się powtórnie. A dziś znowu w leżym saonej „Olympii” wystąpiła ze swym piosenkarstkim i tanecznym repertuarem.

Ponowne pojawienie się na scenie Józefiny Baker wiąże się z potrzebą zdobycia pieniędzy dla sprawy będącej obecnie celem jej życia, sprawy krzewienia idei braterstwa między ludź-



Józefina Baker

mi różnych ras i kontyentów. W posiadłości swej „Les Milandes” wychowuje obecnie dwanaścioro adoptowanych przez nią dzieci różnych narodowości. Ponadto no si się z zamiarem stworzenia szkoły przeznaczony dla dzieci ze wszy stkich stron świata, gdzie mogłyby w atmosferze braterstwa i wzajemnego zrozumienia otrzymy wać naukę. Szkoła taka ma powstać we Francji.

Występ swój Józefina Baker rozpoczęła odspiewaniem na kolanach pieśni-modlitwy o pokój „Quand je pense à ça” (Kiedy o tym myślę). W dalszym repertuarze były jej nowe piosenki jak „Paris mes amours” i dawne z okresu jej sławy.

Występ Józefiny Baker, która pomimo wieku nie zatraciła swej dawnej wery scenicznej, spotkał się z niezwykle żywym przyjęciem publiczności francuskiej. Brawom nie było końca, a niektórzy widzowie

wybiegali na scenę, aby razem z nią tańczyć i śpiewać ulubione piosenki. O pożegnaniu z estradą tym razem nie było już mowy.

W styczniu 1969 roku Józefina Baker wystąpiła w popularnej amerykańskiej komedii muzycznej, we francuskiej adaptacji „Hello Dolly”.

RIMBAUD ZE STRZALĄ W NOSIE

Niewiele wiemy o pierwszych podróżach Rimbauda. Dokładniej poinformowani byli zdaje się jedynie jego najbliżsi przyjaciele. Po pojedynku z Verlaine'em Rimbaud pisze „Sezon w piekle” i wyjeżdża do Londynu. Jak się zdaje w tym to czasie, a był to koniec 1874 roku, poecie po raz pierwszy przychodził na myśl pozostanie na Wschód. 19 maja 1876 roku Rimbaud zaangażował się do holenderskiej armii kolonialnej wsiada na statek „Prins-en-Oranje”. Odtąd wiadomości o jego dalszych losach są rozmaite i fantastyczne. Jego przyjaciele opowiadają sobie, że poeta został królem Hotentotów, misjonarzem albo naturalizowanym Kafrem. W dalszym repertuarze były jej nowe piosenki jak „Paris mes amours” i dawne z okresu jej sławy.

Występ Józefiny Baker, która pomimo wieku nie zatraciła swej dawnej wery scenicznej, spotkał się z niezwykle żywym przyjęciem publiczności francuskiej. Brawom nie było końca, a niektórzy widzowie

BAUDELAIRE I VAN DONGEN

Nakładem wydawnictwa Pierre de Tartas ukazały się „Kwiaty zła” Baudelaire'a z ilustracjami Van Dongena. Luksusowe to wydanie przeznaczone jest dla bibliofilów i wyszło w nakładzie zaledwie 270 egzemplarzy.

Pomysł łączenia poezji

Baudelaire'a z ilustracjami Van Dongena mógł się wydawać zbyt śmiały ale w efekcie okazał się udany. Przypomnijmy, że Van Dongen jest ostatnim z żyjących fotografów. Na jesienu ub. r. odbyła się w Paryżu jego wielka wystawa retrospektywna. Z pochodzenia jest Holendrem urodzonym w roku 1877 w Delfshaven koło Rotterdamu.



Rysunek Van Dongena do poezji Baudelaire'a

Metalowe obrazy Władysława Jagody

W czytelni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki wystawione są prace malarstwa Władysława Jagody. Zwiedzający, nastawiony na ekspozycję malarstwa, staje przed obrazami nieco zaskoczony. Ogląda z bliska i z daleka i znowu z bliska. By wreszcie przekonać się, że rzeczywiście tworzyłem tego malarstwa jest metal, wylądnie metal. Artysta zaś jest w równej chęci mierzyc malarzem, rzeźbiarzem i metalo-

plastycykiem. Twórczość interesująca i nietypowa tak samo jak interesująca i nietypowa jest sylwetka i droga kariery artystycznej autora. Pedagog z wykształcenia, działalność pedagogiczną rozpoczął jako nauczyciel szkoły podstawowej w Wągrowie. Ale już stamtąd zaczęły napływać prace plastyczne na konkursy plastyków-amatorów i zawsze Władysław Jagoda zbierał za nie nagrody. W 1959 roku rozpoczął studia na Wydziale Tkaniny Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. W roku 1964 otrzymał dyplom uczelni. Ale również w czasie studiów nie zaprzestał pracy twórczej i uczestniczenia w wystawach.

W 1967 roku w najważniejszy chyba sposób połączone zostały zamlowania i kwalifikacje artysty, został dyrektorem Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. W sposób najważniejszy, bo pożyteczną pracą pedagogiczną łączy z pracą twórczą, a twórczość te charakteryzuje ciągle poszukiwanie nowych form wyrazu artystycznego, nowych form

wypowiadania się, coraz większa dojrzałość, coraz ciekawsze efekty poszukiwań. Początkowe prace to pejzaże, portrety, martwe natury — malarstwo i grafika. Tworzyłem, którym posługuję się dziś, jest metal, na który przenosił dawniejsze doświadczenia war sztatowe, przetwarzając je w sposób twórczy. Efekty jakie uzyskuje są sumą indywidualnych cech osobowości i talentu artysty i specyficznych możliwości jakie daje użycie metalowego tworzywa.

Fakt, że Władysław Jagoda ukończył Wydział Tkaniny niewątpliwie sprawił, że na wystawie mamy możliwość oglądania dzieł tak niezwykłych jak gobeliny, w których osnowy stanowi liniana nie, a wątek metalowa taśma odpowiednio fakturowana. Artysta nie cofa się przed ciężką rzeźmienniczą pracą, przed trudem pokonywania opornego tworzywa dla uzyskania pięknych efektów artystycznych. Gobeliny Jagody są właściwie z niczym nieporównywalne choćby z tego powodu, że nikt tego typu twórczości nie uprawia. Są niezwykle efek-

towne. Utrzymane w brązowo-pomarańczowo-złocistej tonacji, lśnią, błyszczą światłem odbijającym w metalowych płytkach, nie tracąc jednocześnie charakteru tkaniny, która dziś liczy sobie lat ponad sześćdziesiąt, kilkakrotnie już i za każdym razem na zawsze, zegnana się z publicznością, po to by w kilka lat później znowu pojawić się na estradzie. W roku 1956 ze łzami w oczach odbywała w paryskiej „Olympii” swój ostatni występ i w tejże „Olympii” w roku 1964 zegnana się powtórnie. A dziś znowu w leżym saonej „Olympii” wystąpiła ze swym piosenkarstkim i tanecznym repertuarem.

Ponowne pojawienie się na scenie Józefiny Baker wiąże się z potrzebą zdobycia pieniędzy dla sprawy będącej obecnie celem jej życia, sprawy krzewienia idei braterstwa między ludź-

pobudzająco na wyobraźnię. Mnie osobiście wydały się pejzażami ery kosmicznej, epoki podróży międzyplanetarnych. Można w nich widzieć krajobrazy z innych planet, można im nadać tytuły: „Zachód słońca na Księżycu”, czy „Ziemia widziana z Marsa”. Kosmiczne pejzaże, kosmiczne słońca, kosmiczne zmiernicy. Czy w epoce mózgow elektronowych i robotów, epoce statków międzyplanetarnych będzie miejsce dla sztuki, twórczości artystycznej, przeżyć estetycznych? A jeśli tak, to jakie one będą? Może właśnie podobne do propozycji plastycznych Władysława Jagody? Barwne, tajemnicze, błyszczące?

Proszę się ze mnie nie śmiać. To wszystko przyszło mi do głowy właśnie na tej wystawie. Oświetlała ją ciepłe, popołudniowe słońce, które rzucało opalizujący blask na metalowe faktury. Mieniły się w blasku słonecznych promieni tęcza kolorów, a mimo to nie straciły nie swej tajemniczości.

Bez strachu

„...I RZEKŁ PTAK DO NOCY...”

Kim jestem, a rzeźbił kim nie jestem? — Oto pytanie, które sobie zadałem na przypadkowym spotkaniu z młodym twórcą z kawiarni literackiej. Siedziałem sam przy stoliku kiedy przystąpił bardzo młody człowiek z abrymnia ruda brodą i zapisał czy może usiąść przy mnie. Usiadł i rozczłzył się lekko. „Czy tutaj wpuszcza ją tylko literatów, bo ja jeszcze nie jestem literatem i boję się, że mnie przegonia.” „Niech pan siedzi — nie wiem kogo tu wpuszczają, ale sądzę, że z taką brodą może pan siedzieć wszędzie.” „A pan, czy jest może Wytrawnym Znaczący Poezji?” „O nie, na pewno nie”, „Nie szkodzi, umówiłem się tutaj z Wytrawnym Znaczący Poezji, będzie za pół godziny...” „Miałem przez chwilę i dmuchał we wspaniałą brode, w jestem Wytrawnym Znaczący Poezji.” „Nie szkodzi, mówię, że nie szkodzi, a czy jest pan może Znanym Krytykiem?” „O nie, na pewno nie jestem Znanym Krytykiem.” „Nie szkodzi, nie szkodzi, niech pan się nie przejmuj — umówiłem się z Znanym Krytykiem — będzie tu za pół godziny...” Siedziałem zawstydzony — nie byłem ani Wytrawnym Znaczący Poezji, ani Znanym Krytykiem — byłem jeżeli tak rzecz można Przemysłowym Nieznaczący Poezji i Nieznany Krytykiem. „Czy jest pan może Sławnym Pisarzem?” „O nie, na pewno nie jestem Sławnym Pisarzem.” „Nie szkodzi, Sławnym Pisarzem będzie tu za pół godziny — umówiłem się z nim w tej kawiarni.” Jakby tu zbicz z kawiarni nie tracąc twarzy przed Wytrawnym Znaczący Poezji, przed Znanym Krytykiem, przed Sławnym Pisarzem, przed Młodym Rudobrodym Twórcą... Połyskałem Rudobrodę — czytał miniaturę prozą — rzecz była o ptaku i o no cy — stylizowana zresztą według osobliwej estetyki na modle sentencjonalnej poezji chińskiej, był w niej także pogłos surwogowego piekna Biblii. Niestety nim Rudobrody doczytał — otwarto szeroko drzwi kawiarni i wkraczili: Wytrawnym Znaczący Poezji, Znanym Krytykiem i Sławnym Pisarzem, zryli prosto na nasz stolik. Pochyliłem Młodego Twórcę za brode i tak obeszliśmy w uszach dźwięk zdania: „I rzekł ptak do no cy...” „Bieglem ulicą, a za sobą słyszałem czyjeś szybkie kroki, chwila mi moich pleców dotykały włosy biegnącego za mną, oczywista włosy jego brody. Przydybali mnie wreszcie — oparty plecami o ścianę podniosłem ręce do góry. „Czego pan ode mnie chce, jestem Przemysłowym Znaczący Poezji, Nieznany Krytykiem, Nieznany Pisarzem — tam w kawiarni oczekują Pana: Wytrawnym Znaczący Poezji, Znanym Krytykiem, i Sławnym Pisarzem.” I rzekł do mnie miedziano-brody ponownie wydobywając miniaturę: „Oni czekają, ja, czekają, bowiem jestem im potrzebny, a panna musiałem ścigać po ulicy. Proszę dokładnie słuchać — chodzi mi o to — otóż zanim usłysza miniaturę tamte postacie — musi ustyszczyć ją jakiś człowiek, rozumie pan. Miniaturę należy odczytać człowiekowi przed oficjalną prezentacją wobec postaci — zatem czy jest pan człowiekiem?” „Jestem” — odpowiedziałem bardzo cicho.” „A zatem, niech pan słucha uważnie, zagrze raz jeszcze od początku zdania”. Obok nas przejechał zgiełkliwy wóz pełen baniek z miodem. Myślałem o ciepłym, mlecznym wodospadzie, gdy posłyszałem słowa: „...I rzekł ptak do no cy — pozostał ze mną...”

BERNARD SZTAJNERT

T. W.

Otwarte okno

Tylko przez przypadek Maigret wplątał się w tę sprawę od samego początku. O godzinie trzeciej był w swoim gabinecie, kiedy telefonicznie poinformowano go, że przy Włoskim Posterunku pobili się Algierczycy. Kilku z nich pokłuto nożami. Algierczycy i tego rodzaju przypadki należały do obowiązków dzielnicowego.

— Nie będę mógł tam pójść, szefie. Powinienem o czwartej być na Montmartrze aby aresztować Lagera.

— Kogo?

— Lagera. Nie pamięta pan? Z „Francuskiej Spółki Handlowej”. Nakaz podpisał wydział finansowy prokuratury. — Idź do Włoskiego Posterunku, a ja wezmę na siebie Montmartrę.

Maigret pracował prawie do czwartej, potem, wzięwszy z sobą dwóch policjantów, wskoczył do taksówki, przeszedł pod sklepieniem na podwórzu i zobaczywszy niezliczoną ilość brudnych schodów, spytał:

— Innego wyjścia nie ma?

— Nie sądzę...

A w ogóle to nie miało żadnego znaczenia. Sprawa nie była nadzwyczajna. Ot, zwykłe aresztowanie podejrzanego drobnego handlarza.

— Trzecie piętro, szefie... Na prawo...

Normalna robota. Mężczyzna w wieku lat pięćdziesięciu, Ernest Decharneau, jak zawsze siedział przy swoim biurku, ale tym razem nie przyklejał znaczków, ale już wypisywał adresy na kopertach. Obok w oczekiwaniu siedziało pięć osób.

— Czy wrócił Oscar Lager?

— spytał Maigret nie wyjmując z ust fajki.

— Jeszcze nie. Lada moment powinien nadejść. Ci panowie też do niego...

Spojrzał na „tych panów”, prawdopodobnie drobnych wierzycieli, którzy już dwie godziny czekali w nadziei, że uda im się wydobyc od Lagera parę groszy. Wyrzucił najszerszy palec z fajki na brudną podłogę, Maigret nabijał ją tytoniem.

— Ależ przeciąg u was — mruknął podnosząc kornierz palta.

Ernest Decharneau pochylał głowę nasłuchując i powiedział:

— Zdać się, że idzie...

— Jak to? Czy on nie wchodził tymi drzwiami?

— Zawsze używa tylnego wejścia. Zaraz powiem mu... Wstał i nie zdążył dokończyć zdania, gdy z gabinetu Lagera doleciał odgłos wystrzału. Decharneau rzucił się w tamtą stronę, ale Maigret zatrzymał go i wszedł pierwszy.

Korytarz zakręcał pod kątem prostym. W jego głębi widoczne było okno, to samo, z którego potężnie wiał. Wychodziło na małe podwórko. Maigret, który ciągle marzył, zamknął je przechodząc. Sądził, że gabinet Lagera będzie zamknięty od wewnątrz, ale drzwi były otwarte. Przy biurku, przechylony do tyłu, siedział niski grubas. Na prawej skroni była wielka rana, a na dywanie pod zwisającą ręką leżał rewolwer.

— Niech mi tu nie wchodzi! — warknął Maigret odwracając się.

I w tym momencie jeszcze niezbyt wyraźnie poczuł, że sprawa ta jest niejasna, a nawet niezwykła, ale na razie nie wiedział w czym ta niezwykłość tkwi. Wsunął rękę do kieszeni, z odrzuconym na tył głowy kapeluszem, myślał intensywnie badając teren, wreszcie jego wzrok zatrzymał się na damskich butach wystających spod okiennej stopy.

— Ej, co panu tu robi? — spytał ze złością.

Story rozsunięły się i stamtąd wyszła młoda jeszcze kobieta ze strachem na trzech mężczyzn wyszeptując:

— Kim wy jesteście? Czego chcecie?

— A pan?

— Jestem żoną Lagera.

Inspektor policji pochylał się nad ciałem, uniósł głowę i obojętnie powiedział:

— Nie żyje!...

— No i co? — spytał inspektor zwracając się do sędziego śledczego i prokuratora.

— Samobójstwo! — odparł prokurator. — Według opinii lekarza, wystrzał oddano z odległości piętnastu centymetrów. Lagerowi, jak widać, bardzo zależało na tym, by opuścić ten świat, jeśli...

Sędzia i prokurator równocześnie spojrzeli na Maigreta, gdy ten przerwał im:

— Albo po prostu on spał!

— Pan sądzi, że to jest... I wzrok sędziego skierował się na siedzącą w napięciu panią Lager, której akurat robiono odciski palców.

— Jeszcze nie wiem — przyznał się Maigret. — Jeżeli to jest zabójstwo, to w każdym bądź razie niezwykłe sprytnie pomyślane. Bo przecież, zwrócić na to uwagę, można powiedzieć, że myślny prawie byli przy tym obecni... Wygląda na to, że morderca jakby specjalnie czekał na przyście policji...

Maigret zwrócił się do eksperta z oddziału medycyny sądowej.

— A czy pan, doktorze, nie czegoś niezwykłego nie zauważył?

— Chyba nie... śmierć nastąpiła natychmiast.

— A potem?

— Co pan ma na myśli?

— Nie... Przypuszczam, że Lager był jeszcze większym zmarzluchem niż ja... Proszę zwrócić uwagę na to, że oparcie jego fotela jest przysunięte do samych kaloryferów...

Sędzia i prokurator spojrzeli na siebie. Maigret znów wyrzucił popiół uderzając cybuchem fajki o obcas. Twarz Lagera przykryta była ręcznikiem. Ekspert skończył li swoją pracę i tylko czekał na przywołanie, by odejść.

— Na biurku są dwa telefony — powiedział Maigret zwracając się do dzielnicowego komisarza policji. — Jeden jest miejski, a drugi wewnętrzny. Prawdopodobnie jest on połączony z aparatem w poczekalni. Niech pan spróbuje stamtąd do mnie zadzwonić.

Dzielnicowy wyszedł. Wszyscy patrzyli w oczekiwaniu

— Przypadkowo byłem tutaj i obserwowałem urzędnika...

— Pan go podejrzewa? Przecież to niemożliwe...

— Chwileczkę! Pan chyba sam zauważył, że zarówno fizycznie jak i psychicznie jest to człowiek, którego pech nie opuszcza ani przez moment. Być może ten brak powodzenia w życiu jest rezultatem smutnego wypadku jaki mu pozostawiła młodość wojna, a on od tego czasu jest jej nieszczęśliwym ofiarą. Ten człowiek był kiedyś porucznikiem Decharneau! Ale nastąpił pokój, a z jego dawnego życia nie zostało nic. Zmarła mu żona, a przedsiębiorstwo handlowe zbankrutowało... Zaopiekował się nim Lager, człowiek ordynarny i bez skrupułów, który w tym niespokojnym wojennym czasie zbił fortunę.

Zapadło milczenie. Maigret nabijał już czwartą fajkę.

Powiedziałbym, że to wszystko wyjaśnia! — rzekł z westchnieniem.



Maigreta, który nie ukrywał swego rozżalenia. Minęła minuta, druga... Pochylił wrócił dzielnicowy.

— Nie pan nie słyszał? Kilka razy dzwoniłem.

— Panie sędzio, czy może pan ze mną wyjść na chwilę rozmowy — powiedział Maigret wychodząc do sąsiedniego pokoju.

Maigret stał w swojej ulubionej pozycji zwrócony plecami do ognia i mówił niedbale, jakby przepraszając za to, że jego śledztwo tak szybko zbliżyło się ku końcowi.

Lager wykorzystuje Decharneau właśnie tak, jak podobny typ może wykorzystywać przyzwoitego człowieka. Decharneau nieraz buntował się przeciwko ciemnym machinacjom Lagera, nieraz uspokajał się by znów wybuchnąć i wreszcie zrodziła się w nim jędnawość do tego człowieka, który uważał się za jego dobroczyńcę... Nienawidził ta była tym bardziej gwałtowna, że Lager spadał coraz bardziej w dół, ciągnąc za sobą Decharneau.

— Nie rozumiem, dokąd pan zmierza.

— Dokąd? Sam nawet nie wiem. W każdym bądź razie przed chwilą jeszcze o tym nie wiedziałem. Po prostu spróbowałem sobie wyobrazić ich obu — właściciela firmy i urzędnika, byłego kaprala i byłego oficera, którzy zamienili się rolami. Wyobraziłem sobie ich biuro, które okupują gwałtowni kredytorzy i sądowi egzekutorzy; weksle bez pokrycia, mmiemane czeki i inne żałosne akcesoria nieuchronnego upadku i ruiny materialnej.

— Prawdopodobnie było to powodem do wypisania nakazu aresztowania...

— Chwileczkę...

Maigret otworzył drzwi i zawołał Decharneau, który wszedł z przerażoną twarzą.

— Proszę mi powiedzieć, ile razy Lager był ścigany sądownie?

— Dokładnie nie pamiętam... Może pięć albo sześć razy...

— I za każdym razem udawało mu się z tego wyplatać?

— Tak... On miał wielkie znajomości...

— Może pan odejść. Dziękuję!

Kiedy urzędnik wyszedł Maigret zwrócił się do sędziego.

— A więc Decharneau nie chciał, aby i tym razem Lager wykręcił się sianiem. Decharneau to człowiek chory, zresztą sam pan widział. Złożyłbym się, że ma wrzód żołądka albo raka... Nie jest już w stanie wyciągnąć się z tego. Czym byłby po aresztowaniu Lagera? Ocalonym rozbitkiem, jakich można zobaczyć w kolejce po talerz bezopłatnej zupy dla bezrobotnych. Przy tym Decharneau uważa, że to Lager jest winien i tylko on odpowiada za los, jaki go spotkał...

— Ależ jak on mógł to zrealizować...

— Nie wiem, to jest tylko moje przypuszczenie, które, mam nadzieję, wkrótce się potwierdzi. Dziś w południe przyszli tu dwaj policjanci aby aresztować Lagera. Nie było go i Decharneau proponuje im aby zjawili się powoli o godzinie czwartej. Proszę nie zapominać, że ten człowiek długie dni i miesiące siedział w tym biurze naklejając znaczki i wypisując adresy na kopertach. Sporo miał czasu aby obmyśleć każdy szczegół swojego planu zemsty. Według jego zeznania, dziś, wbrew swemu stalemu nawykowi, nie poszedł na obiad i podejrzewam, że w tym czasie wykonał wielką i mądrą pracę której ślady będziemy musieli odnaleźć.

Przecież nadarzyła mu się zna komita okazja!... Zazwyczaj pani Lager o drugiej siedzi nienim pracownica w tym biurze... I tylko w nierazwa środek każdego miesiąca wychodzi do ministerstwa finansów po swoją rentę. Gdy zasłała tu po dokumenty — Decharneau oświadczył jej, że maż będzie czekał na nią w swoim gabinecie o godzinie czwartej... Od tej chwili wszystko toczy się zupełnie gładko. W poczekalni zebrał się, jak zwykle, wierzyciele, którzy są w sta-

nie poświadczyć, że on — Decharneau nigdzie nie wychodził... I oto tylko jeden raz — proszę zapamiętać godzinę, a była to kwadrans czwarta — zadzwonił telefon; przypadek w pomyłką, jak to potem okazało się, Decharneau. Za chwilę dowiedzieli się czw pod jego biurkiem nie ma przycisku przy pomocy którego można spowo dawać dzwonienie... Jest to tym bardziej prawdopodobne, że urzędnik na jego stanowisku powinien mieć jakiś sposób na uprzedzenie swojego szefa przed niepowołanymi ludźmi...

— Można to łatwo sprawdzić — powiedział sędzia.

— Reszta też nie jest aż tak trudna do udowodnienia. I tak oto za kwadrans czwarta Decharneau wchodził do gabinetu swojego szefa. Jak zawsze Lager w tym czasie śpi... Jako były handlarz bronia Decharneau zna wszelkie sposoby cichego strzelania...

— No tak, ale...

— Zaraz wszystko powiem! Następnie schował tłumik do kieszeni, albo nawet może go wyrzucił do ubikacji... Wraca do poczekalni i czeka na nas. Wchodzimy... Wtedy oznajmia nam, że Lager niebawem wróci. Czekamy razem z innymi. Decharneau nasłuchuje, a gdy słyszy kroki pani Lager — naciska guzik wewnętrznego telefonu...

— Nie rozumiem.

To przecież jasne. Potrzebny jest wystrzał jako dowód, że właśnie w tym samym czasie Lager popełnił samobójstwo, albo został zabity...

Przed chwilą komisarz próbował zadzwonić w poczekalni przez telefon wewnętrzny, ale nie udało mu się tego dołonać... Złóż się, że denat był połączony z jakąś petardą, ukrwta na narzecie okna lub na korytarzu; a propos: za pomianem panu powiedzieć, że kiedy zsiłmy przez korytarz — okno było otwarte... Tak, że wszystko jak gdyby wydarzyło się w naszej obecności, po prostu nieomal pod samym naszym nosem... Rzuć camy się tam, wpadamy do pokoju i przy okazji nastraszylimy panią Lager, która chowa się przed nami.

Maigret zamyslił się i dodał z uśmiechem:

— Kiedw wszedłem do gabinetu gdzieś mi pewna rzecz. Teraz już wiem o co chodzi... Jako stary pałac, do konale odróżniam zapach gorącego dymu od zimnego... A w gabinecie pana Lagera pachniało prochem, ale już ostygłym... Ekspert z medycyny sądowej, z którym jeszcze porozmawiamy, wydał błędną opinię dotyczącą ciepłoty trupa, a pomylił się dlatego, że ciało przyniesie było do kaloryferów. A więc...

Na paracie znalezione ślady petardy i kawałki miedzi jednego drutu podłączonego do tego telefonu wewnętrznego.

— Nieprawda! — krzyknął na pierwszym przesłuchaniu Decharneau.

Następnego dnia powiesił się w celi rozzerwawszy kozulę, aby z niej zrobić sznur.

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI



Lewym okiem

DWA RAZY BEZ.

Wystarczy posiedzieć na kilku konferencjach przemysłowo-handlowych, w gronie uczonych mężów znających swą branżę na wylot i mówiących językiem mało zrozumiałym dla osób postronnych, żeby zdziwić się okrutnie i zdumieć: skąd te wieczne narzekania na jakość krajowych wyrobów? Po co komu te setki żłośliwych dowcipów w pismach satyrycznych — a to o telewizorach, a to o butach, a to o nie domykających się drzwiach, nieczynnych windach, krzywo kratkowanych zeszytach szkolnych?

Uczni mężowie pokazują nam baranie futerko z Węgier; barćo ładne, lekkie, miękkie futerko. — Co pan na to? — pytają. Przecież to chala. Patrz pan jak krótko przycięty włos, jaki ramię, mac, chwyt, wychwyt, ucisk, przycisk? Nasze normy nie zezwalają na takie rzeczy, nasz handel nigdy by tego nie przyjął od przemysłu, najwyżej jako brak pozagatunkowy...

W parę dni później inni mężowie prezentują szereg apetycznych buczków z Włoch, z Jugosławii, z Francji. — Gdyby nasz przemysł tak produkował, to by nasz handel nie kupił ani jednej pary. Proszę: sama tekstura w środku. To jest branzol? To papa, nie branzol. Patrzcie, panowie, jakie jarzma na licu w samej kwaterze. Pomarszczony podnosek. Krzywy sztuper. Wyżycia w środku. Przy naszych normach wszystkie te buble kwalifikują się na bazy, oczywiście po przecenie.

Nasze non-irony w ocenie producentów, wygłaszanej w tonacji nie dopuszczającej wątpliwości, są o niebo lepsze od angielskich i austriackich. Nasze tkaniny mniej się mru, mniej farbują, mniej chwytają plamy, nie mówiąc o odporności na mole. Inżynier budowlany z triumfem i z całym sztafajem fachowych szczegółów relacjonuje brakorobstwo budowlane Francuzów, u których drzwi do łazienki otwierają się dopiero po wyciągnięciu wanny, a kaloryfery nie grzeją, bo ich nie ma.

Tak twierdzą fachowcy, chociaż może nie tyle fachowość jest źródłem owych entuzjastycznych ocen, ile fakt, że ocenia się własne wyroby. Mniej fachowi ludzie, zwyczajni, z innych branż, wołają nadal futerka węgierskie, bo są bardzo lekkie, miękkie i — co tu gadać — ładniejsze, i wołają buczki włoskie po tysiąc złotych, bo są piękne, elastyczne, lekkie i wygodne, i wołają non-iron austriacki, bo naprawdę nie trzeba go prasować. Bardzo bym się smartwił, gdyby słowa powyższe poczytane zostały za aprobatę anobizmów, zapatrzona się w zagraniczne stemple, za niedocenywanie wysiłków rodzimego przemysłu. Wiadomo przecież, że rubryka niniejsza ma założenia krytyczne, ma rzucać kamyczki do ogródków, zamącić czasem oczka płynące po barszczu. „Życie Gospodarcze” przed półtora rokiem użyło słów

mocniejszych: „po co to picowanie?” Chodziło wówczas właśnie o czyjąś opinię, że krajowe zapalniczki do gazu będą znacznie lepsze od jakichkolwiek na świecie. Po co zaraz tak? Samozachwywanie się producentów, ich wogoda ducha, oparta na przekonaniu, że już wszystko co możliwe zostało zrobione i lepiej nie powinno być — oto zjawisko, które pragnęlibyśmy zaccpić.

Byłe bez paniki. Niedobrze jest też, jeśli nagłe znajdzie się tyśa kobyła, drzewo pochyle, na które skacze kto chce, i żeby tam ludziska nie wiem co robili — stale jest wszystko źle. W pewnej branzy brakarz, kwalifikujący wyroby gotowe do poszczególnych gatunków, nie otrzymuje grosza premii, jeśli zdarzą się reklamacje odbiorców, i jeżeli po ich rozpatrzeniu dwa procent wyrobów okaże się zakwalifikowanych mylnie. Jest to branża masowa, brakarz przerzuca dzieńnie paręset sztuk wyrobów, i błąd rzędu dwóch procent w skali miesiąca jest błędem minimalnym.

W tej samej branzy, te same wyroby, reklamowane są przez odbiorców na podstawie opinii brakarzy, zatrudnionych u tychże odbiorców. Po rozpatrzeniu reklamacji ponad połowa z nich okazuje się niesłuszna, czyli brakarz odbiorcy myli się w ponad pięćdziesięciu procentach absolutnie bez konsekwencji, nikt mu za to złego słowa nie powie. Jest w tym jakaś racja, bo brakarz odbiorcy ma pchnąć interesu konsumenta i powinien to robić ostro. Jest też i taka racja, że nie powinien się za dużo mylić, bo rozpatrywanie zbędnych reklamacji kosztuje ogromne pieniądze. Czyli jeszcze raz: bez samozachwytno w przemyśle. Bez paniki w handlu. Na zdrowie konsumentom!

ĆWIEK